

ALFRED HITCHCOCK

TAJEMNICA WYPCHANEGO KOTA

PRZYGODY TRZECH DETEKTYWÓW

(Przełożyła: ANNA KOWALCZYK)

Wprowadzenie Alfreda Hitchcocka

Witajcie, wielbiciele zagadek! Mam przyjemność po raz kolejny przedstawić Wam trzech chłopców, zwanych siebie Trzema Detektywami. Ich dewiza brzmi: “Badamy wszystko”. Rzeczywiście postępują w ten sposób, nawet jeżeli nikt ich o to nie prosi. Tak właśnie było w zdumiewającej sprawie wypchanego kota. Wszystko zaczęło się podczas feralnego przedstawienia w wesołym miasteczku... ale nie uprzedzajmy wypadków.

Jeśli jeszcze nie znacie moich młodych przyjaciół, pozwólcie, że Wam ich przedstawię. Jupiter Jones, chłopiec trochę otyły, to lider zespołu. Koledzy przezywają go Jupe. Ma niezwykle przenikliwy umysł. Pete Crenshaw jest wysoki i muskularny. Bob Andrews prowadzi specjalne poszukiwania i zajmuje się dokumentacją. Jest co prawda niewysoki, najdrobniejszy z trzech, ale w obliczu niebezpieczeństwa zawsze wykazuje olbrzymią odwagę.

Chłopcy mieszkają w Rocky Beach, małym kalifornijskim miasteczku, leżącym o kilkanaście kilometrów od Hollywoodu. Kwaterą Główną zespołu jest przyczepa kempingowa, stojąca na terenie składu złomu, należącego do wujostwa Jupitera, Matyldy i Tytusa Jonesów.

Gdyby Trzej Detektywi mogli przypuszczać, że zagadkowy kot wciągnie ich w nowe dochodzenie, może zastanowiliby się, czy warto zajmować się tą sprawą. Od początku bowiem prześladował ich pech - ale za dużo gadam. Przejdźmy zatem do rzeczy.

Rozdział 1

Wesołe miasteczko!

Pewnego wrześniowego popołudnia Jupiter Jones i Pete Crenshaw pracowali w warsztacie Jupitera na złomowisku. Prawdę mówiąc, pracował Jupiter, a Pete się temu przyglądał. Dlatego właśnie Pete pierwszy dostrzegł wuja Jupitera, Tytusa Jonesa, niosącego dwie wielkie drewniane balie.

- Chłopcy - zaczął wuj Tytus, stawiając balię przed nimi. - Mam dla was robotę. Pomalujcie te kadzie w czerwono-biało-niebieskie pasy.

Pete spojrzał na balie.

- Paski na baliach do kąpieli?

- Chcesz, żebyśmy zrobili to właśnie teraz, wujku? - zapytał Jupiter.

Krępy chłopiec ponuro popatrzył na leżący na warsztacie układ małych części elektronicznych.

- Jupe buduje nowe urządzenie dla Trzech Detektywów - wyjaśnił Pete.

- Jakiś nowy wynalazek? - zainteresował się wuj Tytus, zapominając o baliach. - Co to jest?

- Któż to może wiedzieć? Przecież zna pan Jupitera - odparł Pete. - Ja mu tylko pomagam. On nikomu nie mówi, co robi.

Jupiter, szef firmy młodocianych detektywów, trzymał w tajemnicy swoje wynalazki, dopóki nie był pewien, że będą one działać. Poza tym nie cierpiał przerywać pracy, zanim zaczęty projekt nie został ukończony.

- Nie moglibyśmy pomalować tego później? - zapytał żałośnie.

- Niestety, muszą być gotowe dziś wieczorem. Ale jeśli jesteście tak bardzo zajęci, mogę poprosić o to Hansa lub Konrada. - Wuj Tytus miał na myśli dwóch braci, Bawarczyków, którzy pomagali na złomowisku. Oczy mu rozbłyły. - W takim razie oni odniosą balie właścicielowi. To będzie sprawiedliwe.

Pobudziło to ciekawość Jupitera.

- Czy to jakiś interesujący człowiek, wujku?

- Wiem - zgadywał Pete - to są balie z patriotycznej pralni.

- Albo łódki dla karłów.

Wujek Tytus uśmiechnął się.

- A co byście powiedzieli, gdyby to miały być siedzenia dla lwa.

- O, tak - zaśmiał się Pete - każdy lew potrzebuje czerwono-biało-niebieskiego stołka.

Jupiter spoważniał. W jego oczach zamigotał ogienek.

- Oczywiście! Te balie, pomalowane i przewrócone do góry nogami, byłyby doskonałymi siedzeniami dla lwa z cyrku.

- O rany, cyrk! - zawołał Pete. - Jeśli odniesiemy im te kadzie, może pozwolą nam obejrzyć zwierzęta.

Wujek Tytus cmoknął z zadowolenia widząc, jakie wrażenie zrobiła na chłopcach nowina.

- No cóż, to nie jest prawdziwy cyrk, to wesołe miasteczko. Ale mają tam nie tylko karuzele i stragany. Będą też dawać przedstawienia. Przyjechali do Rocky Beach ubiegłego wieczoru. Właściciel stracił podczas pożaru podesty dla tresowanego lwa. Nie mógł znaleźć w naszym mieście niczego odpowiedniego. Zadzwoił do nas i wtedy przypomniałem sobie o tych baliach.

Wujek Tytus promieniał. Zawsze chełpił się tym, że w jego składzie złomu pośród stert rupieci, można znaleźć wszystko, czego dusza zapagnie. Największą przyjemność odczuwał wtedy, gdy jakaś rzecz, z pozoru bezużyteczna, okazywała się dla kogoś niezmiernie wartościowa.

- Wesołe miasteczko - wygłosił Jupiter - to najbardziej wyjątkowe i fascynujące zjawisko o prastarym rodowodzie.

- Chyba chodzi ci o to, że można się tam fajnie bawić - westchnął Pete.

Drugi Detektyw nie zawsze potrafił zrozumieć to, co mówił jego przyjaciel.

- "Wielkie Wesołe Miasteczko Carsona"! Teraz sobie przypominam. Widziałem, jak rozstawiają przyczepy na wielkim placu na nadbrzeżu, tuż za nieczynnym już parkiem zabaw.

- Może moglibyśmy wejść do nich na zaplecze - ożywił się Jupe.

- No to na co czekamy? - zawołał Pete. - Przyniosę farby, a ty poszukaj rozpylacza do malowania.

Chłopcy z zapalem zabrali się do pracy i po trzydziestu minutach balie były gotowe. Odstawili

je do suszenia i poszli do Kwatery Głównej sprawdzić, ile mają pieniędzy do wydania w wesołym miasteczku.

Kwaterna Główna mieściła się w starej, wielkiej przyczepie kempingowej, ukrytej pośród stert rupieci, w odległym zakątku złomowiska. Tylko chłopcy potrafili odnaleźć sekretne przejście, prowadzące do niej pomiędzy górami żelastwa. Nikt oprócz nich nie pamiętał o istnieniu przyczepy.

Kiedy balie wyschły, Pete pojechał rowerem do Biblioteki Publicznej w Rocky Beach, żeby powiedzieć Bobowi Andrewsowi o wesołym miasteczku. Bob, dokumentalista zespołu Trzech Detektywów, podczas wakacji pracował dorywczo w bibliotece. Trzeci Detektyw był nie mniej podekscytowany nowiną niż jego koledzy, toteż natychmiast po pracy pobiegł do domu. Chłopcy błyskawicznie uporali się z kolacją. O wpół do ósmej byli już w drodze, a pomalowane balie dyndały przymocowane do dwóch rowerów.

Z daleka dostrzegli przekrzywione wieże i rozlatujące się torowiska starej kolejki, jeżdżącej niegdyś w parku zabaw. Wesołe miasteczko znajdowało się tuż obok, na pustym placu, nad brzegiem oceanu. Było jeszcze nieczynne. Namioty, drewniane stragany i karuzele porozstawiano po obu stronach dwóch szerokich alejek. Zapadał zmrok. Cały teren, obwiedziony tymczasowym ogrodzeniem, oświetlały lampy. Z głośników płynęła muzyka, mająca przyciągnąć mieszkańców Rocky Beach. Diabelski młyn już się kręcił, mimo że nikt w nim nie siedział. Dwóch klaunów zabawnie skakało wzdłuż jednej z alejek. Wszyscy gorączkowo przygotowywali się do otwarcia.

Chłopcy bez trudu odnaleźli namiot tresera lwów, ozdobiony krzykliwym czerwonym szyldem: "Wielki Iwan i Rajah - Najsłynniejszy na Świecie Tresowany Lew!" Weszli do środka. Podbiegł do nich wysoki mężczyzna z dziko sterczącymi, bujnymi wąsami. Ubrany był w błyszczący niebieski kostium i wypolerowane czarne oficerki.

- Ach, balie! Wspaniale! Postawcie je tutaj!

- Na złomowisku Jonesa znajdziesz wszystko, czego potrzebujesz - Jupiter wygłosił slogan reklamowy firmy swego wuja.

Wielki Iwan wybuchnął śmiechem.

- Młody człowieku, mówisz jak jeden z naszych "szczekaczy".

- Kto to jest "szczekacz", proszę pana? - zapytał Pete.

- Spróbuj się domyślić - odparł Wielki Iwan.

- Założę się, że Jupe to wie - powiedział Bob.

Bob i Pete przyzwyczaili się do tego, że Jupiter na każdy temat miał coś do powiedzenia. W dodatku krępy lider zespołu zawsze chętnie dzielił się swoją wiedzą.

- Szczekacz - wygłosił Jupiter - to człowiek stojący przed namiotem cyrkowym albo przed wejściem do wesołego miasteczka, który opowiada ludziom o tym, jakie wspaniale rzeczy dzieją się

wewnątrz. Można powiedzieć, że to starodawna forma reklamy.

- Masz rację, młody człowieku - potwierdził Wielki Iwan. - Nazywamy ich także "krzykaczami" albo "przekupniami", niektórzy kłamią, ale nie ci naprawdę dobrzy. Na przykład mój szczekacz nie mówi ludziom, że Rajah jest dzikim lwem. Po prostu opowiada o tym, co on może zrobić. Widzieliście kiedykolwiek lwa na trapezie?

- O rany! To on potrafi balansować na trapezie? - zawołał Pete.

- Owszem - pochwalił się Wielki Iwan. - Pierwsze przedstawienie już za godzinę. Bądźcie moimi gośćmi. Może nawet pozwolę wam dotknąć Rajaha.

- Na pewno przyjdziemy, proszę pana - obiecał Bob entuzjastycznie.

Chłopcy wyszli z namiotu. Wesole miasteczko już było otwarte. Szczekacze reklamowali pierwszym gościom czekające ich atrakcje. Chłopcy dwukrotnie przejechali się na karuzeli łańcuchowej i na diabelskim młynie. Rywalizowali o mosiężne kółko, ale wygrał je Pete. Przez chwilę przyglądali się wyglupom małego, tłustego klauna, a potem ruszyli w stronę straganów, gdzie można było zdobyć różne nagrody, trafiając rzutkami do tarczy, miotając kulą, kręcąc obręcz i strzelając na strzelnicy.

- Chłopaki, te gry to jakieś oszukaństwo - zauważył Bob, obserwując je przez chwilę. - Wyglądają na zbyt łatwe.

- Nie - wytłumaczył Jupiter - po prostu są znacznie trudniejsze, niż by się to mogło wydawać. To rzecz matematyki i fizyki. Szansę na wygraną...

- Oszukujecie! Dajcie mi tę nagrodę!

Przed nimi stał wysoki, starszy mężczyzna w kapeluszu z wywiniętym rondem. Miał gęste, krzaczaste wąsy, a na oczach ciemne okulary, mimo że już zapadła noc. Krzyczał na obsługującego strzelnicę młodego blondyna. Nagle wyrwał z rąk chłopca wypchane zwierzę i rzucił się do ucieczki. Biegł w kierunku Trzech Detektywów.

Blondas zawołał:

- Zatrzymajcie go! Łapać złodzieja! Straże!

Rozdział 2

Łapać złodzieja!

- Uwważaj! - krzyknął Pete.

Za późno. Starszy mężczyzna biegł, oglądając się przez ramię, czy nikt go nie ściga, i z impetem wpadł na Jupitera. W płątaniu rąk i nóg obaj upadli na ziemię.

- Ooooooch!- jęknął Jupiter.

Kilku gości rozpierchło się w popłochu, lecz zaraz przybiegli strażnicy wesołego miasteczka.

- Hej, ty! Nie ruszaj się - zawołał jeden ze strażników do wąsatego złodzieja w ciemnych okularach.

Złodziej poderwał się na nogi, wsadził pod pachę ukradzioną nagrodę i mocno złapał Jupitera. W wolnej ręce mężczyzny błysnęło ostrze noża.

- Nie zbliżaj się do mnie - groźnie zgrzytnął zębami i niezdarnie począł ciągnąć Jupitera w stronę wyjścia z wesołego miasteczka.

Bob i Pete przyglądali się z przerażeniem. Cóż mogli zrobić? Strażnicy zaczęli zachodzić złodzieja od tyłu, ten jednak od razu ich zauważył. Rozproszyło to jego uwagę. Jupiter spróbował się wyrwać i uciec. Mężczyzna zaklął i okręcił się na pięcie, by mocniej chwycić chłopca. Ściskając niezgrabnie pod pachą wypchane zwierzę, stracił równowagę, potknął się i zawadził ręką o ramię Jupitera. Nóż wypadł mu z ręki.

W mgnieniu oka złodziej zorientował się, że nie zdoła odzyskać broni. Puścił Jupitera, pchnął go na strażników i wybiegł z wesołego miasteczka z ukradzionym trofeum.

Jupiter, łapiąc równowagę, zawołał:

- Za nim!

Chłopcy pierwsi ruszyli w pogoń za uciekającym złodziejem. Strażnicy deptali im po piętach. Wąsaty mężczyzna pobiegł w kierunku oceanu i zniknął za rogiem wysokiego drewnianego płotu, okalającego nieczynny park zabaw. Strażnicy dogonili chłopców.

- W porządku - powiedział któryś. - Poradzimy sobie z nim.

- Za tym rogiem jest ślepa uliczka - wskazał Pete. - Płot ciągnie się w dół aż do wody. Złodziej jest w potrzasku.

- W takim razie wy zostańcie tutaj - zarządził drugi strażnik.

Strażnicy mieli przygotowane do strzału rewolwery. Ostrożnie skręcili za róg. Chłopcy czekali. Przez dłuższą chwilę panowała zupełna cisza. Jupiter zaczął się niecierpliwić.

- Coś tu jest nie w porządku - mruknął. - Chodźcie za mną.

Ostrożnie poprowadził kolegów dookoła wysokiego płotu. Tuż za rogiem zatrzymali się w pół kroku. Dwaj strażnicy stali sami na końcu uliczki. Stary, wąsaty złodziej uciekł.

- Nikogo tu nie było - powiedział strażnik.

Oszołomieni chłopcy rozejrzeli się po małej, zarośniętej trawą przestrzeni. Po prawej stronie był wysoki płot, a po lewej głęboki ocean. Daleko, w dole uliczki ogrodzenie schodziło prosto do wody, nad którą jeszcze na odcinku wielu metrów wystawało jego ostre, żelazne zwieńczenie. Można się było stamtąd wydostać tylko tą drogą, którą przyszli.

- Chyba musieliście się pomylić - powiedział drugi strażnik.

- Może on już odpłynął - zasugerował Bob.

- Nie miał na to czasu. Zobaczylibyśmy go w wodzie - odparł drugi umundurowany mężczyzna.
- Musiał was zwieść.

- Na pewno widziałem, że wbiegł właśnie tutaj - uparcie utrzymywał Jupiter.

Pete nadal uważnie obserwował okolicę. Nagle wysoki Drugi Detektyw zawołał:

- Spójrzcie!

Pochylił się i podniósł coś dużego z ocienionego skrawka ziemi. Był to wypchany kot, ukradziony przez wścawca. Pete trzymał go tryumfalnie.

- Oto dowód, że złodziej tu był - stwierdził kategorycznie.

- Najwidoczniej upuścił go uciekając - zauważył Bob.

Rozejrzał się.

- Ale jak zdołał stąd wyleźć?

- Musi być jakieś przejście przez ten parkan - powiedział jeden ze strażników.

- Dziura albo jakaś furtka - dodał drugi.

- A może tunel? - zgadywał Pete.

Wszyscy uważnie obejrzelili wysoki płot na całej długości odosobnionego zakątka. Nie zauważyli nic podejrzanego.

- Nie - stwierdził Jupiter - ten fragment ogrodzenia jest w bardzo dobrym stanie, nie ma też na pewno żadnego przejścia pod nim.

- No to nasz złodziejaszek musiał chyba mieć skrzydła - zażartował strażnik - To jedyny sposób, w jaki mógł się stąd wydostać, nie przechodząc obok was.

- Ten płot ma co najmniej cztery metry wysokości - zauważył drugi stróż porządku - i nie ma na

nim nic, czego można by się chwycić. Nikt nie dałby rady przez niego przejść.

Podczas gdy patrzyli na ogrodzenie, Jupiter myślał na głos:

- Skoro nie odpłynął, nie zrobił podkopu ani nie przeleciał nad tym parkanem, to, logicznie rzecz biorąc, pozostaje tylko jedna możliwość - musiał przejść górą.

- Ależ to szaleństwo - zaprotestował strażnik.

- O rany! - powiedział Pete. - To niemożliwe, żeby ktoś przelazł przez ten płot bez niczyjej pomocy. Tu nie ma na czym stanąć.

Poparł go Bob:

- Nie ma szans, żeby przeszedł górą.

- Na to wygląda - upierał się Jupe - ale skoro nie ma innego logicznego wytłumaczenia, najwidoczniej dał sobie z tym radę. Gdy wszystkie inne możliwości są wykluczone, prawdziwa jest ta, która pozostaje, choćby się wydawała zupełnie nierealna.

- Niezależnie od tego, jak to zrobił, uciekł - powiedział strażnik. - Musimy wracać do pracy. Odniesiemy tę nagrodę z powrotem na strzelnicę.

Strażnik wyciągnął rękę po wypchane zwierzę, które nadal trzymał Pete. Jednak Jupiter, przyglądający się w dalszym ciągu ogrodzeniu, powstrzymał go:

- Jeśli pan pozwoli, sami odniesiemy nagrodę - zaproponował Pierwszy Detektyw. - I tak chcieliśmy pójść na strzelnicę.

- Dobrze - zgodził się strażnik. - Zwróćcie tę zabawkę. To nam zaoszczędzi trochę czasu. Musimy jeszcze zgłosić kradzież na policję.

Gdy strażnicy odeszli, a chłopcy ruszyli do wesołego miasteczka, Pete zauważył:

- Nie wiedziałem, że mieliśmy zamiar iść na strzelnicę.

- Może nie mieliśmy - oznajmił Jupiter - ale ciekaw jestem, dlaczego ten człowiek zaatakował chłopaka ze strzelnicy i zabrał mu tę nagrodę.

Wskazał na wypchanego zwierzaka i dopiero teraz chłopcy przyjrzeni się mu naprawdę. Pete wybałuszył oczy z podniecenia, gdy dostrzegł, co trzyma w rękach.

Był to wypchany kot, prawie metrowej długości, o sierści w czerwono-czarne pasy. Miał powykręcane nogi i całe ciało wygięte w kształt litery Z. Z otwartego pyska wystawały ostre białe zęby, a jedno ucho zwisało na dół. Miał tylko jedno czerwone oko i czerwoną ozdobną obrozę. Był to najbardziej dziki i powykrzywiany kot, jakiego kiedykolwiek widzieli.

- Naprawdę jest niesamowity - zgodził się Jupiter. - Ale mimo wszystko, nie mogę zrozumieć, dlaczego ten człowiek tak bardzo chciał go mieć.

- Może zbiera wypchane zwierzęta - zgadywał Bob. - Mój tata twierdzi, że kolekcjonerzy są zdolni do wszystkiego, byleby dostać to, czego pragną.

- Zbiera wypchane koty? - powątpiewał Pete. - Z wesołego miasteczka? Musiałby być szalony. Ile to mogłoby być warte?

- No tak - rozważał Jupiter - to brzmi głupio, ale kolekcjonerzy bywają dziwnymi ludźmi. Zdarza się, że bogaci ludzie kupują kradzione obrazy, mimo że muszą je ukrywać. To można chyba nazwać obsesją, a opętani nią kolekcjonerzy mogą popełniać najróżniejsze desperackie czyny. Nie sądzę jednak, że nasz złodziej jest prawdziwym kolekcjonerem. Prawdopodobnie jest jednym z tych, którzy nigdy nie potrafią znieść przegranej. Albo może wpadł w szal, bo wydawało mu się, że wygrał, ale go oszukali.

- Myślę, że nawet my bylibyśmy wściekli, gdyby nas okłamano - zgodził się Pete - ale to nie powód, żeby wyciągać nóż.

Dotarli na strzelnicę i stojący za ladą chłopak z płową czupryną podziękował im radośnie.

- O, przynieśliście mojego kota! Czy tego starego człowieka złapali?

- Nie, uciekł - powiedział Pete. - Ale zgubił to.

Pete wręczył chłopcu wypchanego kota.

- Mam nadzieję, że policja go złapie - burknął wściekle blondas. - Zestrzelił tylko trzy z pięciu kaczek! Zupełny ciamajda. O rany, wy go naprawdę goniliście.

Chłopak ze strzelnicy uśmiechnął się.

- Nazywam się Andy Carson. Pracuję w tej budzie. Jesteście z branży?

Bob zamrugał niepewnie oczami.

- Co masz na myśli?

- Chciał się dowiedzieć - wytłumaczył usłużnie Jupiter - czy też pracujemy w jakimś wesołym miasteczku. Nie, mieszkamy w Rocky Beach. Nazywam się Jupiter Jones, a to moi przyjaciele: Bob Andrews i Pete Crenshaw.

- Miło was poznać - powiedział Andy, po czym dodał z dumą w głosie: - Pracuję tutaj. Na samodzielnym stanowisku, a nie jako popychadło czy zwykły robot.

- Jako kto? - zapytał Pete.

- "Popychadło" - pospieszył z wyjaśnieniem Jupiter - to ktoś, kto dopiero zaczyna pracować w wesołym miasteczku, a "roboł" to pracownik fizyczny. Andy chciał przez to powiedzieć, że jest tutaj stałym, samodzielnym pracownikiem. To dosyć niezwykłe w twoim wieku, prawda, Andy?

- Tak - przyznał chłopak, nieco zakłopotany. - Mój ojciec jest właścicielem całego tego interesu. Ale mówi, że równie dobrze mógłbym pracować teraz w jakimkolwiek wesołym miasteczku. Chcielibyście sobie postrzelać?

- Chciałbym spróbować wygrać tego wypchanego kota - powiedział Pete.

- Mógłby być naszą maskotką - dodał Bob.

- Symbolem naszej pracy - zgodził się Jupiter. - No dalej, Pete, spróbuj.

Andy Carson wykrzywił twarz w uśmiechu.

- Żeby wygrać wypchanego kota, musisz trafić do pięciu celów, strzelając tylko pięć razy. To nagroda główna. Niełatwo ją zdobyć, ale to możliwe. Do tej pory wygrano już cztery takie okazy.

- Trafię piątkę - oświadczył Pete i wyciągnął rękę po jedną ze strzelb, przymocowanych do lady.

Nagle Andy z podniesioną ręką skoczył na Pete'a.

- Chwileczkę! - zawołał.

Rozdział 3

Niebezpieczny moment

- O co chodzi? - zapytał czujnie Pete.

Andy uśmiechnął się i założył na głowę słomiany kapelusz.

- Nie tak szybko, młody człowieku. Twój entuzjazm jest godny podziwu, ale najpierw muszę dostać do ręki srebrny, królewski krążek, prawny środek płatniczy o nominale dwudziestu pięciu centów, czyli jedną czwartą dolara. Taką zupełną drobnostkę, dzięki której będziesz mógł zaprezentować swoje umiejętności. Pięć cieniutkich pięciocentówek za pięć wspaniałych strzałów. Zapraszam, chłopcze, każdy wygrywa. Pochwal się swoją niewzruszoną ręką i bystrym okiem. Zróbcie, proszę, miejsce temu mężczyźnie. Pięć łatwiutkich strzałów za jedyne i wyjątkowe wykrzywione kota!

Chłopcy, wybuchnęli śmiechem. Pete sięgnął do kieszeni, szukając monety.

- O kurczę - powiedział Bob - czy ty zawsze mówisz w taki sposób?

Andy promieniał z zadowolenia:

- Tata twierdzi, że mam to we krwi i że jestem urodzonym krzykaczem.

- Jesteś nim z pewnością - zgodził się Bob. - Może mógłbyś nas tego nauczyć?

- Och, chłopcze - zaczął Andy z uroczystym wyrazem twarzy. - Najpierw trzeba latami pobierać nauki u Wielkiego Lamy z Tybetu. Potem, w odpowiednim momencie, udzieli się drobnym rad, oczywiście za skromną opłatą. Tylko kilku wybrańców może w końcu dostąpić zaszczytu...

Chłopcy, uśmiechnięci od ucha do ucha, słuchali kwiecistego wystąpienia Andy'ego. Mówca był również zachwycony swoim krasomówczym talentem.

- A teraz - zakończył ozdobnie - odsuńcie się dla zrobienia miejsca temu młodemu, wybitnemu strzelcowi. Niech nam zaprezentuje swoje umiejętności. Strzelaj sobie do woli, Pete!

Pete skinął głową i podniósł jedną ze strzelb. Przez chwilę patrzył uważnie na cel, po czym błyskawicznie wymierzył w brzęczącą procesję mechanicznych kaczek i zestrzelił aż trzy, jedną za drugą. Andy klasnął w ręce.

- Wspaniale. Uważaj, zostały ci jeszcze tylko dwie.

Pete strzelił raz jeszcze, trafiając czwarty cel.

- Jeszcze jedna! Nie ruszaj się! - ostrzegał Andy - Spokojnie! Ostrożnie!

Andy mrugnął do Boba i Jupitera. Chłopcy zrozumieli, że jego ostrzeżenia i zachęty były typową sztuczką, używaną przez pracowników wesołego miasteczka. Chciał rozproszyć klienta by denerwując go, zwiększyć prawdopodobieństwo przegranej. Ale Pete, pochłonięty działaniem, nigdy nie tracił panowania nad sobą. Wypalił ze strzelby i padła piąta kaczka.

- Wygrałem! - zawołał.

- Brawo! - pogratulował mu Andy i wręczył Drugiemu Detektywowi niesamowicie wykrzywionego kota.

- Jesteś dobrym strzelcem. To mój ostatni wypchany kot. Będę musiał wymyślić jakąś inną pierwszą nagrodę, dopóki nie dostanę znowu takich kotów. Chyba mam jeszcze srebrne modele Księżyca.

Oczy Jupitera błysnęły.

- Księżycowe globusy? Ależ to zupełna nowość. Możemy wygrać jeden z nich?

- Spróbuj szczęścia, mój chłopcze - powiedział Andy tonem szczekacza. - Niewzruszona ręka i

bystre oko! Pięć strzałów.

Pete i Bob roześmiali się, a Jupiter wręczył Andy'emu monetę. Wycelował i zestrzelił dwie kaczkę. Przy trzecim strzale spudłował.

- Pozwól i mnie spróbować - poprosił Bob.

Najmniejszy z chłopców zapłacił Andy'emu dwadzieścia pięć centów i wycelował w przesuujące się ptaszki. Nie zdołał ustrzelić więcej niż Jupiter, trafiając tylko dwa razy. Potem Pete znowu spróbował swoich sił, chcąc zdobyć księżycowy globus dla Jupitera. Tym razem jemu też się nie powiodło.

- Drobne niepowodzenie - zachęcał Andy. - Następnym razem z pewnością się uda. Tylko dwadzieścia pięć centów!

Pete potrząsnął głową.

- Będzie lepiej, jeśli poprzestanę na tym, co mam. W końcu już wygrałem kota.

Chłopcy wybuchnęli śmiechem. Na strzelnicę zaczęli przychodzić nowi goście. W wesołym miasteczku robił się coraz większy tłok. Chłopcy obserwowali, jak Andy wspaniale radzi sobie z kolejnymi klientami. W pewnym momencie ich nowy kolega zauważył, że zachęca ludzi do wygrania modeli Księżyca, a nie ma na straganie ani jednego.

- Jupiter, mógłbyś wejść za ladę i popilnować przez chwilę strzelnicę? - zapytał Andy. - Pójdę po globusy.

- Pewnie - zachęcał Bob. - No dalej, Jupe.

Jupiterowi nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Stał za ladą i spróbował naśladować gawędziarską sztukę Andy'ego. Publiczność zdawała się dobrze się bawić, słuchając występów krępego chłopca. Twarz Jupitera promieniała zadowoleniem.

Andy poprowadził Boba i Pete'a za stragan, gdzie w półmroku, poza głównym placem wesołego miasteczka, stał mały samochód dostawczy.

- Parkuję go tak blisko, abym mógł go widzieć z mojej budy - tłumaczył Andy. - Ludzie zawsze próbują coś ukraść z wesołego miasteczka.

Otworzył bagażnik i zaczął wyjmować małe globusy, wspaniałe modele Księżyca. Wyciągnął sześć sztuk, zamknął bagażnik i odwrócił się, by wręczyć dwa globusy Bobowi.

- Bob... - zaczął i urwał w pół słowa. Patrzył szeroko otwartymi oczami w stronę następnego straganu, który znajdował się za plecami Boba.

- Chłopaki, nie ruszajcie się. Stójcie spokojnie - powiedział ściszym głosem.

Bob zmarszczył brwi.

- Andy, wystarczy już tych kuglarskich sztuczek...

- Nie żartuję - szepnął Andy. Był napięty i przestraszony, ale opanowany. - Odwróćcie się powoli. Nie uciekajcie i nie róbcie żadnych gwałtownych ruchów. To Rajah!

Chłopcy popatrzyli na Andy'ego, Pete przełknął ślinę. Ostrożnie odwrócili głowy. Pomiedzy nimi a następnym straganem znajdował się niewielki, zacieniony kawałek ziemi zarośniętej trawą, niewidoczny z głównej alei. Tam, około sześciu metrów przed chłopcami, przykucnął wielki lew z czarną grzywą!

Rozdział 4

Pete stawia czoło niebezpieczeństwu

- Idźcie powoli w kierunku straganu - łagodnie rozkazał Andy. - Rajah właściwie nie jest niebezpieczny, bo jest bardzo dobrze wytresowany, ale może się przestraszyć, a wtedy wpada w panikę. W budce strzelnicy będziemy bezpieczni. Jest tam telefon i w razie czego mogę zadzwonić po pomoc.

Dotychczas nikt oprócz nich nie zauważył zbiegłego lwa, siedzącego za najbliższym straganem. Zwierzę patrzyło na chłopców błyszczącymi żółtymi oczami, rozdziawiło szeroko paszczę, prezentując rząd ogromnych żółtych zębisk. Machnęło ogonem zakończonym czarnym chwostem.

- Jeśli wejdziemy do budki - powiedział Pete drżącym głosem - lew może wyjść na główną aleję i wywołać histerię wśród tłumu.

- Tak, wiem - zgodził się Andy. - Światła i ludzie mogą go przestraszyć. Muszę jednak zadzwonić do Iwana.

Pete nie spuszczał wzroku ze zdenerwowanego lwa.

- Idźcie obaj do budki i zadzwoncie do Iwana - powiedział. - Pracowałem ze zwierzętami, które tata filmował. Gdybyśmy wszyscy spróbowali stąd odejść, mogłoby to się okazać znacznie bardziej niebezpieczne.

- Pete!- zawołał Bob przerażony.

Lew mruknął łagodnie, słysząc głos Boba.

- No idźcie, prędej - nalegał Pete szeptem.

Wysoki chłopiec stał bez ruchu, patrząc na przyczajonego lwa. Bob i Andy wycofywali się do strzelnicy. Lew ruszył z miejsca, obserwując odchodzących chłopców. Z pewnością czuł się nieswojo z dala od swojej klatki. Pete przemówił spokojnie i stanowczo. Lew spojrzął na niego.

- Stój, Rajah! - rozkazał. - Rajah, połóż się.

Głos chłopca był łagodny, ale brzmiał dobitnie i budził zaufanie. Lew stanął. Swoimi żółtymi ślepiami spojrzął niepewnie na Pete'a.

- Spokojnie, Rajah - kontynuował Pete. - Dobrze, Rajah.

Powoli machając ogonem, lew patrzył na chłopca, tak jakby reagował na swoje imię, zdumiony, skąd ten dziwny młody człowiek je zna. Pete nie odwracał głowy w kierunku straganu Andy'ego. Z niewzruszonym spokojem przyglądał się wielkiemu zwierzęciu.

- Połóż się! Rajah, leżeć!

Pete podniósł pewnie głos, akcentując ostatnie polecenie.

- Leżeć, Rajah!

Lew machnął ogonem, rozejrzał się i ciężko legł na trawie. Z podniesionym łbem obserwował Pete'a, zupełnie jak wielki kot, który zaraz zacznie mrużyć.

- Doskonale, Rajah - pochwalił go chłopiec.

Nagle usłyszał za plecami głosy zbliżających się ludzi. Wielki Iwan minął Pete'a i ruszył w stronę lwa. Treser niósł ze sobą drążek i długi łańcuch. Podszedł do swojego pupila i przemówił do niego łagodnym i zdecydowanym głosem, w taki sam sposób, jak to robił Pete. Po chwili trzymał lwa na łańcuchu przyczepionym do obroży ukrytej pod grzywą i prowadził posłuszne zwierzę do klatki.

Pete przełknął ślinę i zbladł.

- O rany! - jęknął.

Bob, Jupiter i Andy podbiegli do niego.

- To było wspaniałe - zawołał Andy.

- Byłeś świetny! - przyznał Jupiter. - Nikt nie zauważył, że Rajah uciekł. Zapobiegłeś panice!

- Byłem tak przerażony, że nie mogłem oddychać! - dodał Bob.

Tak go chwalili, że Pete się zarumienił. Zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, chłopcy dostrzegli Wielkiego Iwana, idącego z powrotem w ich stronę. Treser był zupełnie błydy. Gestem pełnym aprobaty chwycił chłopca za ramię.

- Postąpiłeś bohatercko, młody człowieku. To był wspaniały popis odwagi i umiejętności - pogratulował Wielki Iwan. - Rajah jest dobrze wytresowany i oswojony. Nikogo by nie skrzywdził. Ale gdyby ludzie go zobaczyli, mogłyby wywołać panikę, która by go przestraszyła. A wtedy nietrudno o nieszczęśliwy wypadek.

Pete uśmiechnął się zakłopotany.

- Wiedziałem, że jest tresowany. Andy powiedział, że na ogół nie jest niebezpieczny. Ojciec nauczył mnie, jak postępować z tresowanymi dzikimi zwierzętami.

Wielki Iwan kiwnął głową.

- Twój ojciec dobrze cię uczył. Rajah jest posłuszny, kiedy słyszy pewny, rozkazujący głos. Mam wobec ciebie dług wdzięczności. Nie rozumiem tylko, w jaki sposób on zdołał wyjść? Klatka była otwarta.

Treser Iwa uśmiechnął się.

- Chłopcy, może byście chcieli stanąć podczas występu tuż obok klatki i stamtąd, z bliska popatrzeć na mnie i Rajaha?

- Naprawdę moglibyśmy to obejrzeć? - zawołał radośnie Pete.

- No pewnie. Przyjdźcie za kilka minut. Muszę sprawdzić, czy Rajah jest gotowy do przedstawienia.

Wielki Iwan poszedł do namiotu. Chłopcy jeszcze przez chwilę stali z Andym Carsonem, zanim ten nie wrócił do pracy. Wokół strzelnicy zrobiło się tłoczno i chłopiec miał ręce pełne roboty.

Trzej Detektywi ruszyli do namiotu Iwa. Po drodze przystanęli, aby przyjrzeć się błazenadom dwóch klaunów, biegających pośród tłumu gości. Małemu, tłuściemu komikowi, którego widzieli już wcześniej, towarzyszył teraz drugi, wysoki i smutnolicy. Wysoki klaun miał pomalowaną na białą, zabrudzoną twarz i cienki czerwony nos. Ubrany był jak włóczęga, w olbrzymie, obwisłe spodnie, sznurowane na dole. Nos małego grubasa świecił od czasu do czasu jak latarka.

Mniejszy klaun wykonał serię sztuczek akrobatycznych. Po każdej z nich paradował dumnie jak zawadiacki paw. Jego wysoki towarzysz przyglądał się temu z żalną miną i próbował go naśladować. Za każdym razem coś mu nie wychodziło. Jego twarz stawała się coraz smutniejsza, a obserwujący go ludzie pękali ze śmiechu. Wreszcie, gdy małemu komikowi nie udało się stanąć na rękach i runął na ziemię jak długi, smutas się uśmiechnął. Chłopcy nagrodzili brawami te popisy.

- Świetny popis - powiedział Jupiter. - Widzieliście, jak perfekcyjnie prowadzili przedstawienie aż do momentu, w którym smutny się roześmiał? Ludzie lubią patrzeć na tryumf kogoś, kto zwykle ma pecha. Kiedy grałem w filmach, występowałem czasem z klaunami. Ci dwaj to jedni z lepszych, jakich widziałem.

Nie dziwcie się, że Jupiter tak dobrze zna życie ludzi kina i telewizji. Kiedy Pierwszy

Detektyw był dzieckiem, występował w filmach. Znany był pod pseudonimem Mały Tłuscioszek. Teraz nie znosił, kiedy mu ktoś przypominał jego dawne przezwisko, ale lubił popisywać się znajomością show businessu.

Od razu po występie klaunów chłopcy pospieszyli do namiotu lwa. Klatka, w której odbywały się występy, stała w głębi namiotu, oddzielona od zaplecza płócienną zasłoną. Prowadził do niej ogrodzony podest.

W jej środku chłopcy zobaczyli obie pomalowane balie. Z sufitu zwisał trapez.

W momencie kiedy chłopcy wchodzili do namiotu. Wielki Iwan wynurzył się zza kurtyny, skinął do nich i wszedł do klatki. Dał znak i Rajah zszedł do niego po pomoście, rycząc jak najdziksze zwierzę na świecie. Zaczął biegać dookoła, warcząc i wyciągając pazury do tresera.

Chłopcy uśmiechnęli się. Wiedzieli, że groźne zachowanie Rajaha było tylko grą, tak dobrą, jakby wykonaną przez zawodowego aktora.

Patrzyli z zachwytem na Wielkiego Iwana, każącego lwu pokonywać przeszkody, tańczyć, fikać kozły i huśtać się na trapezie.

Publiczność nagrodziła te popisy gorącymi brawami.

- O rany! - powiedział Pete. - A ja z trudem zdołałem go nakłonić tylko, żeby się położył.

- Czy to nie wspaniałe? - zawołał Bob. - Jupe?

Pierwszego Detektywa nie było już koło nich. Dostrzegli go, stojącego za klatką, w której Wielki Iwan i Rajah w dalszym ciągu zabawiali gości.

Jupiter dawał chłopcom znaki, żeby podeszli do niego.

- O co chodzi? - zapytał Bob.

Jupiter nie odpowiedział, tylko wepchnął ich za kurtynę prowadzącą na zaplecze.

Ogrodzony pomost ciągnął się przez zupełnie pustą część namiotu aż do klatki. To z pewnością było miejsce, gdzie przebywał Rajah w czasie wolnym od występów. Kładka prowadziła stamtąd prosto na drugą stronę kurtyny.

Jupiter wskazał wielką kłódkę na drzwiach klatki przymocowanej do przyczepy samochodowej.

- Chłopaki, ta kłódka była otwarta. Ktoś celowo wypuścił Rajaha.

Rozdział 5

Groźny mrok

- Wielki Iwan jest utalentowanym treserem - zaczął Jupiter - i bardzo dba o swojego ulubieńca. Zastanawiałem się, jak ktoś mógł zostawić klatkę otwartą, tak żeby Wielki Iwan tego nie spostrzegł. Dlatego przyszedłem tutaj. Chciałem przyjrzeć się klatce, stojącej na przyczepie. Popatrzcie na to zamknięcie.

Jupiter wziął do ręki wielką kłódkę.

- Widzicie te głębokie rysy wokół dziurki od klucza? Stał błyszczący się w tych zadrapaniach. Ten zamek był czymś wyważony, i to niedawno.

- Jesteś pewien? - zapytał niespokojnie Bob.

Jupiter skinął głową.

- Pamiętacie książkę, którą mamy w Kwaterze Głównej? Tę o znajdowaniu dowodów i technikach kryminalistyki. No właśnie, te znaczki wyglądają identycznie jak na zdjęciach w tej książce!

- O rany! - mruknął Pete. - Dlaczego ktoś chciałby wypuścić lwa?

Kiedy Trzej Detektywi zastanawiali się nad tą zagadką, w części widowiskowej namiotu wybuchła burza oklasków. Zadźwięczały żelazne wrota i zza kurtyny wyłonił się Rajah, krocąc dumnie po ogrodzonym pomoście prosto do klatki stojącej na przyczepie. Chłopcy popatrzyli na wielkiego lwa.

- To musiał być chyba jakiś szaleniec - stwierdził Bob.

Jupiter wlepił błyszczące oczy w stojące w klatce zwierzę.

- Prawdopodobnie szalony i pełen nienawiści do ludzi. Ale niekoniecznie. Może miał jakiś określony powód czy cel.

- Rany, Jupe, jaki mógł mieć powód? - zapytał Pete.

- Na przykład mógł chcieć przestraszyć gości i wyrządzić szkody w wesołym miasteczku - snuł domysły Jupiter. - Albo chciał odegrać rolę bohatera, łapiąc Rajaha. A może zrobił to, by ukryć jakieś inne sprawy odwracając uwagę wszystkich.

- Ale przecież nic innego się nie stało, nieprawdaż, Jupe - zaprotestował Pete.

- I nikt nie próbował złapać Rajaha, zanim przyszedł Wielki Iwan, zawiadomiony przez Andy'ego - dodał Bob.

- Myślę, że Pete zbyt szybko zareagował - trwał przy swoim Jupiter. - Jeśli ktoś miał jakiś plan, Pete udaremnił go, zatrzymując lwa.

- Ale, do licha - powiedział Bob - gdyby ktoś chciał wyrządzić szkody w wesołym miasteczku, to nie zrobiłby czegoś tak bardzo ryzykownego.

- Nie mam pojęcia - zadumał się Jupiter. - Ale nawet Andy wiedział, że Rajah nie jest naprawdę niebezpieczny. Wszyscy pracownicy wesołego miasteczka zdają sobie sprawę z tego, że Rajah jest doskonale wytresowany i łatwo można sobie z nim poradzić.

- Myślisz, że to był ktoś z wesołego miasteczka? - zapytał z powątpiewaniem Bob.

Jupiter skinął głową.

- Tak. To niemożliwe, żeby lew sam dotarł z klatki na przyczepie do miejsca, gdzie Pete go zatrzymał. Ktoś prawdopodobnie musiał go tam zaprowadzić.

- O rany, to mógł być każdy, z wyjątkiem Wielkiego Iwana - stwierdził Pete. - On przecież nie musiałby wywazać własnego zamka.

- Nie, chyba że chciał zmylić ludzi - powiedział Jupiter. - To dziwne, że Wielki Iwan wcześniej nie zauważył zniknięcia lwa.

Bob i Pete milczeli przez chwilę. Jupiter zmarszczył brwi.

- Problem polega na tym - zauważył Pierwszy Detektyw - że jeszcze wiemy zbyt mało, aby snuć domysły, kto i dlaczego to zrobił.

- Jeszcze? - zdziwił się Pete. - Sądysz, że będziemy...

- Prowadzić dochodzenie! - przerwał entuzjastycznie Bob. - Tak, to dobra praca dla Trzech Detektywów!

- Tak, myślę, że... - zaczął Jupiter, lecz nagle przerwał. Położył palec na ustach i wskazał na tylną ścianę namiotu. Bob i Pete odwrócili głowy.

Na ścianie rysował się olbrzymi cień człowieka, który chyba nie miał na sobie ubrania. Dostrzegli zarys potężnych ramion i kudłatej głowy, przysuniętej tak blisko do płótna, jakby ten ktoś kogoś podsłuchiwał.

- Chłopaki, wychodzimy! - szepnął Jupiter.

Z zaplecza namiotu nie prowadziła żadna droga na zewnątrz, musieli zatem przejść przez część widowiskową do głównego wyjścia. Pobiegli dookoła namiotu najciszej, jak mogli. Na jego tyłach rozejrzeli się ostrożnie. Nikogo nie było.

- Na pewno nas usłyszał - szepnął Bob. Za plecami chłopców rozległy się czyjeś kroki.

- A więc jesteście! - głęboki głos zabrzmiał im tuż koło uszu. - Co tu robicie, chłopcy?

Trzej Detektywi odwrócili się i ujrzeni wielkiego mężczyznę, patrzącego na nich z góry czarnymi oczami. Pete przełknął ślinę. Mężczyzna trzymał w rękach długi młot kowalski.

- M-m-my tylko... - wyjąkał Pete.

W tej chwili zza pleców olbrzyma wynurzył się Andy Carson. Oczy chłopca z wesołego miasteczka błysnęły, kiedy dostrzegł Trzech Detektywów.

- Cześć, chłopaki! - powiedział. - Widzę, że mój tata was znalazł.

Pete przełknął nerwowo ślinę.

- Twój tata?

- Tak, chłopcy.

Olbrzym uśmiechnął się i położył wielki młot na ziemi.

- Szukałem was, żeby w imieniu całego wesołego miasteczka podziękować wam za zajęcie się Rajahem. Pomagałem robotnikom, więc Andy nie od razu mógł mnie znaleźć.

Andy przerwał:

- Tata chce wam coś podarować w podziękę. Coś więcej niż ten wypchany kot, którego wygraliście.

- Mój kot! - zawołał nagle Pete, rozglądając się dookoła. - Zgubiłem go!

- Kot? - zdziwił się pan Carson.

- Jedna z głównych nagród na mojej strzelnicy - wytłumaczył tacie Andy. - Pete go wygrał.

- Może został w namiocie lwa - zasugerował Bob.

Niestety, tam go nie znaleźli, wrócili więc na strzelnicę. Kota nie było nigdzie w jej pobliżu, nie było go też w miejscu, gdzie Pete'owi udało ale uspokoić Rajaha.

- Miałem go na pewno, zanim zobaczyłem Rajaha - powiedział Pete żalnym głosem. - Musiałem kota upuścić i ktoś go podniósł.

Jupiter, który niecierpliwie przygryzał wargi od chwili, gdy zaczęli szukać wypchanego kota, teraz wreszcie wybuchnął:

- Pete, na pewno Andy może dać ci innego kota. Panie Carson, kiedy...

Andy przerwał mu:

- Kurczę, nie mogę dać mu drugiego kota. Mówiłem już wam, że to był ostatni z pięciu, które miałem.

- Z pewnością znajdziemy dla was coś lepszego - powiedział pan Carson.

Jupiter nie mógł już dłużej trzymać języka za zębami. Zapytał:

- Panie Carson, czy nie ma pan żadnych kłopotów z wesołym miasteczkiem?

- Kłopotów? - powtórzył pan Carson, patrząc na Pierwszego Detektywa czarnymi, głęboko osadzonymi oczami. - Dlaczego o to pytasz?

- Zanim nas pan znalazł, zauważyliśmy mężczyznę, który nas obserwował lub podsłuchiwał, kiedy byliśmy w namiocie Rajaha.

- Obserwował was? - pan Carson zmarszczył brwi, lecz po chwili roześmiał się. - Musiało się wam wydawać. Po spotkaniu z Rajahem wasza wyobraźnia najwidoczniej pracowała jeszcze zbyt silnie.

- Być może - zauważył nieco oziębłe Jupiter. - Ale z pewnością nie wymyśliliśmy sobie tego, co odkryliśmy chwilę przedtem, zanim zauważyliśmy tego mężczyznę. Rajah nie uciekł, ktoś go wypuścił.

Pan Carson spoglądał na nich przez chwilę.

- Chodźcie, chłopcy, do mojej ciężarówki.

Ciężarówki, przyczepy i samochody pracowników wesołego miasteczka parkowały na sąsiednim polu. Pan Carson i Andy mieszkali w samochodzie kempingowym z doczepioną z tyłu przyczepą. Wewnątrz znajdowały się dwie koje, krzesła, stół zasłany urzędowymi papierami, mały sejf i wiklinowy kosz, wypełniony uszkodzonymi nagrodami. Były to podarte wypchane psy, brudne wypchane koty, połamane lalki.

- Naprawiam wszystkie zniszczone fanty - powiedział dumnie Andy.

Pan Carson był poważny.

- Usiądźcie i opowiedzcie mi o wszystkim.

Słuchał uważnie Jupitera, który opisał mu, co zauważyli w klatce Rajaha.

- Interesowałem się kiedyś wyważonymi zamkami i rozpoznałem ślady włamania. Jesteśmy doświadczonymi detektywami. - Jupiter wręczył Panu Carsonowi wizytówkę:

Badamy wszystko

???

Pierwszy Detektyw Jupiter Jones

Drugi Detektyw Pete Crenshaw

Dokumentacja i analizy Bob Andrews

Pan Carson uśmiechnął się.

- Macie ciekawe hobby. Ale...

- Nasza praca to coś więcej niż tylko hobby - powiedział z dumą Jupiter. - Poświadcza to policja z Rocky Beach.

I pokazał następujący dokument:

Zaświadcza się, że posiadacz tej karty jest ochotniczym młodszym pomocnikiem, współpracującym z policją w Rocky Beach.

Prosimy o udzielenie mu pomocy.

Samuel Reynolds

Komendant policji

- Przepraszam, chłopcy - uśmiechnął się pan Carson. - Ten dokument rzeczywiście potwierdza, że jesteście prawdziwymi detektywami. Ale tym razem się mylicie.

- Jupe nigdy się nie myli, proszę pana - zapewnił Bob.

- Słuchaj, Bob, jestem pewien, że Jupiter jest wspaniałym młodzieńcem, ale każdy może się pomylić.

- Ależ, tato! - przerwał nagle Andy. - A co z...

Pan Carson wstał.

- Dość, Andy! Bądź cicho, rozumiesz? Jupiter się pomylił. Ale ponieważ oddali nam przysługę, dostaną trzy bilety wolnego wstępu, ważne na wszystkie atrakcje wesołego miasteczka.

Wręczył je chłopcom.

- Czy to dobra nagroda?

- To bardzo uprzejmie z pana strony - podziękował Jupiter.

- Och, nie! - zawołał Bob. - Spójrzcie na drzwi!

W mrocznym kącie pomieszczenia, gdzie znajdowały się tylne drzwi, wszyscy ujrzeli potężny cień człowieka z potarganymi włosami, bujną brodą i niesamowicie muskularnymi ramionami.

- To on! - szepnął Pete.

Pan Carson szybko podszedł do drzwi, otworzył je i odwrócił się do chłopców z uśmiechem na ustach. Mężczyzna wszedł do środka i chłopcy wlepili w niego zdziwione oczy.

Był średniego wzrostu, ale pod skórą jego potężnych ramion napinały się istne kłębowiska mięśni. Miał na sobie tylko obcisłe, dokładnie przylegające do nóg, złoto-czarne spodnie i wysokie buty z błyszczącej skóry. Włosy z bujnej czarnej czupryny i z brody sterczały mu na wszystkie strony.

- To jest Khan - przedstawił gościa pan Carson. - Nasz siłacz. Jedną z waszych zagadek została wyjaśniona. Khan, tak jak my wszyscy, pełni w wesołym miasteczku nie tylko jedną funkcję. Jest także szefem naszej służby bezpieczeństwa. Myślę, że zauważył was, kręcących się po zapleczu wesołego miasteczka, i postanowił sprawdzić, o co chodzi.

- To prawda - potwierdził Khan głębokim, poważnym głosem.

Pan Carson pokiwał głową.

- To wszystko, chłopcy. Muszę teraz porozmawiać z Khanem, a Andy powinien wracać na strzelnicę. Idźcie i bawcie się dobrze. Pamiętajcie, że wszystko możecie robić za darmo.

- Dziękujemy panu - powiedział spokojnie Jupiter.

Skinął na Boba i Pete'a. Wyszli i Jupiter poprowadził chłopców prosto za przyczepę. Po chwili z samochodu kempingowego Carsona nikt już nie mógł ich dojrzeć. Tam Jupiter niespodziewanie stanął, pochylił się i spojrzał w stronę samochodu.

- Co robisz? - zapytał Bob.

- Jestem pewien, że w tym wesołym miasteczku dzieje się coś dziwnego - powiedział Pierwszy Detektyw. - Ten Khan coś ukrywał. Nie wyglądał wcale jak strażnik, kiedy nas podsłuchiwał. Jestem przekonany, że Andy powiedziałby nam, o co chodzi, gdyby ojciec go nie powstrzymał. Podejźmy do okna samochodu i posłuchajmy.

- Poczekajcie! - ostrzegł Pete.

Andy Carson wyszedł z samochodu kempingowego i pobiegł w kierunku strzelnicy. Chłopcy zakradli się do okna przyczepy. Usłyszeli głęboki głos Khana:

- ... no i jeszcze ta ucieczka Rajaha. Co będzie dalej, Carson? Może w ogóle nam nie zapłacisz?

- Wszyscy dostaniecie pieniądze w przyszłym tygodniu - zapewnił Khana pan Carson. Khan odparł:

- Wie pan, jacy przesądni są pracownicy wesołego miasteczka. Występy w tej miejscowości zaczęły się pechowo i to na pewno jeszcze nie koniec nieszczęść.

- Posłuchaj mnie teraz, Khan...

W przyczepie rozległy się kroki i okno, pod którym stali chłopcy, z trzaskiem zamknięto. Nie usłyszeli nic więcej i uciekli.

- O rany, na pewno mają jakieś kłopoty - powiedział Pete. - Ale jak moglibyśmy im pomóc, skoro nawet pan Carson nie chce nic powiedzieć?

Juptter zamyślił się. .

- Nawet Andy'emu nie pozwolił mówić. Ale mamy przepustki do całego wesołego miasteczka i możemy wszystko obserwować. Jutro Bob w bibliotece poszuka w gazetach opisów wydarzeń, jakie miały miejsce w wesołych miasteczkach, stacjonujących w innych miejscowościach. Spotkamy się jutro i zdecydujemy, co robić dalej.

- A co ty teraz zamierzasz? - zapytał Bob.

- Myślę - powiedział Jupiter wymijająco - że spędzę resztę wieczoru na poszukiwaniach niezbędnych informacji.

Rozdział 6

Zdumienie Andy'ego

Pete długo nie mógł usnąć, zastanawiając się, jak przekonać pana Carsona, żeby pozwolił im prowadzić dochodzenie. Rano nadal nie miał żadnych pomysłów i z niecierpliwością czekał na spotkanie z przyjaciółmi. Miał nadzieję, że może im przyszło coś do głowy. Zbiegł na dół do jadalni i o mało co nie zderzył się tam ze swoim tatą.

- Wcześniej wstałeś, tato - powitał ojca.

- Dostałem pilną wiadomość od szefa - westchnął pan Crenshaw. - Jakaś wyjątkowa praca nad naszym nowym filmem. Niestety, obiecałem twojej mamie, że posprzątam dziś w piwnicy. Obawiam się, że będziesz musiał mnie w tym wyręczyć.

Pete jęknął bezgłośnie, lecz powiedział:

- Dobrze, nie ma sprawy.

W związku z niespodziewanymi obowiązkami Pete mógł pojechać do składu złomu dopiero po obiedzie. Na złomowisku skierował się tam, gdzie leżały poskręcane rury, ginące pod zwaliskami rupieci. Tu znajdował się Tunel Drugi, tajne wejście do Kwatery Głównej. Pete wyszedł z tunelu prosto do środka przyczepy.

Był tam Jupiter, który powitał go pytaniem:

- Wymyśliłeś, jak moglibyśmy przekonać pana Carsona, żeby pozwolił nam zająć się tą sprawą?

- Nie, nic nie przychodzi mi na myśl.

- Ani mnie - przyznał pośepnie Jupiter. - Jedyna szansa, że Bob znalazł w bibliotece jakąś interesującą informację. Właśnie sprawdzałem, czy przypadkiem jeszcze tu nie idzie.

Jupiter stał przy Wszystkowidzącym i ponownie spojrzął przez wizjer. Wszystkowidzący był nie wykończonym, ale sprawnym peryskopem. Jupiter skonstruował go, żeby naprawić jedną z wad Kwatery Głównej, a mianowicie tę, że nic z niej nie było widać. Wszystkowidzący wystawał ponad zwaliskami rupieci, kryjącymi przyczepę, wyglądał jak kawałek zwykłej rurki, a chłopcy mogli dzięki niemu obserwować prawie cały teren złomowiska.

- Idzie! - zawołał Jupiter.

Po chwili Bob, machając notatnikiem, wśliznął się przez właz do przyczepy. Wyglądał na podekscytowanego.

- Znalazłeś jakieś rozwiązanie zagadki wesołego miasteczka? - zapytał Pete niecierpliwie.

Bob powiedział:

- Spędziłem nad tym cały ranek, ale w końcu mam! Wesołe miasteczka nie są szczególnie ważnym tematem, więc musiałem przewertować tonę rozmaitych lokalnych gazet.

- I co znalazłeś? - Jupiter nie mógł się doczekać nowin.

Bob otworzył notatnik.

- Trzy tygodnie temu, w czasie występów w miejscowości Ventura, wesołe miasteczko straciło jedną z atrakcji - przejażdżki na kucykach. Trzy kucyki zdechły po zjedzeniu zatrutego pożywienia. Trzy dni temu, gdy wesołe miasteczko znajdowało się w San Mateo, wybuchł tam pożar. Spłonęły cztery namioty: namiot połakacza ognia, żonglera, lwa i część strzelnicy. Na szczęście pożar udało się opanować.

- Namiot lwa? - zawołał Pete. - To w takim razie jest już drugie zdarzenie, związane z tym samym miejscem.

- To mógł być przypadek - stwierdził Jupiter. - Nie możemy wyciągać zbyt pochopnych wniosków. Ciekawi mnie tylko, czy pożar i historia o kucykach dotyczyły tego samego wesołego miasteczka.

- O tym w gazetach nie piszą - powiedział Bob.

- Nie - powiedział pogrążony w myślach Jupiter. - Obydwa wydarzenia mogły w rzeczywistości wyglądać znacznie gorzej, niż to wynika z gazet. Wesołemu miasteczku dopisało szczęście, chyba że... - Jupiter nie dokończył zaczętej myśli. - Przypuszczam, że znalazłeś tylko te dwie informacje?

- Skąd wiesz? - zapytał Bob zdziwiony.

- Ubiegłej nocy słyszeliśmy, że Khan wspominał coś o przesądach - przypomniał Jupiter. - Kiedy wróciłem do domu, rozmawiałem z wujem Tytusem i przejrzałem kilka jego książek. Pamiętacie, że wujek Tytus pracował kiedyś w cyrku. Według jednego z najstarszych przesądów, związanych z występami w wesołym miasteczku, wypadki zdarzają się po trzykroć. Zatem ucieczka Rajaha była trzecim z kolei wydarzeniem!

- O rany, myślisz, że oni nadal w to wierzą? - powątpiewał Pete.

- Pracownicy wesołych miasteczek żyją w izolacji i są bardzo przywiązani do starych wierzeń - wytłumaczył Jupiter. - Nie poprzestałem na czytaniu książek o wesołych miasteczkach. Wujek Tytus powiedział mi, że istnieje spis wszystkich wykonawców pracujących w cyrkach i wesołych miasteczkach. Zadzwoiłem dziś rano do informacji w bibliotece w Los Angeles. W tamtym rejestrze nie figuruje żaden siłacz o nazwisku Khan!

- To znaczy, że podali nam fałszywe nazwisko? - zapytał Pete.

- Albo Khan ostatnio nie występował - powiedział Jupiter.

- Możliwe, że nie jest Amerykaninem. Ale tak czy siak, uważam, że to podejrzany osobnik.

Jupiterowi błysnęły oczy.

- Wiem już, co zrobić, byśmy mogli zająć się aferą w wesołym miasteczku. Pewnie nie uda się nam od razu przekonać pana Carsona, ale myślę, że gdybyśmy przyprowadzili tu Andy'ego, to może zechciałby on z nami współpracować.

- Masz jakiś plan, Jupe? - zapytał Pete.

Jupiter zaczął dzielić się swoim pomysłem, a obaj chłopcy, uśmiechnięci, kiwali potakująco głowami.

Kiedy blondyn z wesołego miasteczka dotarł do warsztatu Jupitera, mieszczącego się poza Kwaterą Główną, Pete już tam na niego czekał.

- O co chodzi? - zapytał Andy.

- Pomyśleliśmy, że może chciałbyś zobaczyć naszą Kwaterę Główną i zapoznać się z naszą pracą - wytłumaczył Pete. - Chodź za mną.

Poprowadził chłopca Tunelem Drugim, przez właz, prosto do przyczepy.

- O kurczę, ale miejsce! - zawołał Andy.

Szeroko otwartymi ze zdumienia oczami oglądał mikroskop, telefon, peryskop, krótkofalówki walkie-talkie, szafkę z aktami przeprowadzonych dochodzeń, wykrywacz metalu, półki zastawione książkami i różnego rodzaju zdobyczami oraz wiele innych rzeczy, które chłopcy poustawiali tak, aby nowy kolega je zauważył. Andy obserwował Boba i Jupitera, pogrążonych w pracy. Żaden z nich nawet nie spojrzał na gościa. Jupiter oglądał przez powiększające okulary kłódkę i porównywał swoje spostrzeżenia z ilustracjami w książce. Bob studiował coś pod oświetlonym, szklanym ekranem.

Pete powiedział ściszym głosem:

- Coś złego dzieje się w waszym wesołym miasteczku. Sprawdzamy teraz szczegóły.

- Ale w jaki sposób? - zdziwił się Andy. - Przecież nic o nas nie wiecie.

- Nauka i nasze doświadczenie powiedzą nam to, czego wy nie chcecie zdradzić - wydeklamował Pete. Jego głos brzmiał niemalże tak pompatycznie jak głos Jupitera.

Jupiter niespodziewanie wstał od stołu.

- Chłopaki, to fachowy kryminalista wypuścił Rajaha z klatki - oświadczył tak, jakby nie zauważył obecności Andy'ego. - Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Nacięcia na powierzchni kłódki są śladami wytrychu numer siedem! Ten człowiek chciał z pewnością spowodować jakieś zamieszanie.

Andy, jak urzeczony, wsłuchiwał się w potok słów, z których przynajmniej połowy nie rozumiał. Zanim zdążył pozbierać myśli, do akcji wkroczył Bob.

- Teraz wiemy na pewno, że przez śmierć trzech kucyków, która miała miejsce trzy tygodnie

temu, wesołe miasteczko straciło jedną z większych atrakcji - perorował dokumentalista i analityk. - Potem ogień zniszczył trzy namioty i część strzelnicy. To spowodowało takie straty finansowe, że pan Carson nie mógł wypłacić pracownikom pensji.

Odgrywając swoją rolę, tak jakby myślał, że są w pokoju sami. Jupiter zapytał:

- A co wiemy o pracownikach wesołego miasteczka?

- Siłacz Khan - oświadczył Bob - nie pracował wcześniej w żadnym wesołym miasteczku. Być może jest zwykłym oszustem.

Przez cały ten czas buzia Andy'ego otwierała się coraz szerzej ze zdziwienia. Nie mógł już dłużej wytrzymać.

- Kto wam to wszystko powiedział? - wybuchnął.

Bob i Jupiter odwrócili się tak, jakby zdziwiła ich obecność Andy'ego w pokoju. Jupiter zrobił niewinną minę.

- Cześć, Andy. Nie wiedzieliśmy, że tu jesteś - powiedział.

- Ktoś musiał wam to wszystko powiedzieć - nie ustępował Andy.

- Ależ skąd - pokręcił głową Jupiter. - Jesteśmy przecież detektywami. Sami to wszystko odkryliśmy. Jak rozumiem, nasze przypuszczenia są zgodne z rzeczywistością?

Andy przytaknął:

- To wszystko prawda. Nawet o Khanie. Używa fałszywego nazwiska, ponieważ tak naprawdę jest artystą cyrkowym. Potrzebował pieniędzy, więc przyszedł pracować z nami. Artyści z wesołego miasteczka są uważani za gorszych od tych, którzy pracują w cyrku. Nie chciał, żeby ktokolwiek się dowiedział, że występuje teraz z nami. Nawet my nie znamy jego prawdziwego nazwiska, ale jest bardzo dobrym siłaczem.

- Przypuszczam, że to wszystko jest możliwe - oświadczył Jupiter. - Jedno jest pewne, Andy: ktoś wyrządza szkody w waszym wesołym miasteczku. Chcielibyśmy wam pomóc odkryć, kto to jest, o ile twój tata nam na to pozwoli.

Andy spojrzał na nich niepewnie.

- Jeśli nikt wam o tym nie opowiedział, w jaki sposób to wszystko odkryliście? Nie wierzę w czary. No, chłopaki, jak się wam to udało?

- To bardzo proste, mój drogi - odparł Jupiter i uśmiechnął się.

Bob i Pete z zadowoleniem przysłuchiwali się, jak Pierwszy Detektyw tłumaczył, co zrobili, aby odkryć kłopoty wesołego miasteczka. Andy był zachwycony słowami Jupitera.

- O rany, wy rzeczywiście jesteście dobrymi detektywami. Założę się, że zdołalibyście odkryć, co naprawdę dzieje się w wesołym miasteczku. Ale pracownicy takich miejsc są zwykle bardzo dumnymi ludźmi. Mój tata nie chce żadnej pomocy z zewnątrz.

- W ten sposób wkrótce możecie stracić wasze wesołe miasteczko - ostrzegł Andy'ego Jupiter.

- Wiem. Jeśli w przyszłym tygodniu nie zapłacimy... - Andy urwał w pół zdania, lecz po chwili powiedział stanowczym głosem: - W porządku, jeśli tata nie chce się zgodzić na waszą pomoc, to ja to zrobię. Chłopaki, wiem, że ktoś pragnie, aby tata stracił wesołe miasteczko. I to z mojego powodu!

Rozdział 7

Wstrząsające odkrycie

- To moja babcia! Ona nienawidzi taty - powiedział Andy.

Chłopiec posmutniał.

- Moja mama umarła, kiedy byłem mały. Miała wypadek w wesołym miasteczku. Nawet nie pamiętam jej zbyt dobrze.

- Przykro nam - powiedział Bob współczująco.

- To się stało dawno temu - ciągnął Andy. - Babcia, mama mojej mamy, nigdy nie lubiła taty ani wesołego miasteczka. Nie chciała się zgodzić na małżeństwo mamy z tatą i kiedy mama umarła, babcia zrzuciła winę na tatę i całe wesołe miasteczko. Nienawidzi wesołych miasteczek i mówi, że to nie jest odpowiednie miejsce dla chłopca. To prawda, po śmierci mamy tata był zupełnie załamany i wesołe miasteczko nie prosperowało zbyt dobrze. Byłem wtedy jeszcze smarkaczem. Babcia chciała, żebym z nią zamieszkał. Nie jest specjalnie bogata, ale ma dość pieniędzy. Tata dużo wtedy podróżował, więc zostawił mnie u babci.

Twarz Andy'ego pociemniała.

- Kiedy trochę podrosłem, zacząłem nienawidzić życia z babcią. Była dla mnie miła, ale bała się o wszystko i na nic mi nie pozwalała. Chciałem być z tatą w wesołym miasteczku. W tym roku uciekłem i odnalazłem tatę. Mówię wam, jaka była wściekła! Od razu po mnie przyjechała. Nie była nigdy moim prawnym opiekunem, więc gdy oświadczyłem, że chcę zostać z wesołym miasteczkiem, tata kazał jej wracać do domu.

Jupiter przerwał:

- Groziła wam?

Andy skinął potakująco głową.

- Powiedziała tacie, że nigdy nie pozwoli, żebym był pracownikiem wesołego miasteczka i skończył jak moja mama. Zagroziła, że wystąpi do sądu o pozbawienie taty praw rodzicielskich. Dlatego tata postanowił wyjechać z przedstawieniami do Kalifornii. Po pierwsze, żeby uciec od babci, po drugie, by zarobić wystarczającą ilość pieniędzy i dowieść, że może się dobrze mną opiekować. Ale teraz, przez te wypadki, tata może stracić wszystko, co posiada.

Jupiter zapytał z powagą:

- Myślisz, że twoja babcia mogłaby posunąć się aż do tego, żeby chcieć zrujnować wasze wesołe miasteczko?

- Nie wiem - odparł po chwili Andy. - Staralem się o tym nie myśleć. Babcia zawsze była dla mnie bardzo dobra, mimo że nienawidziła taty. Ale żadne inne wytłumaczenie nie przychodzi mi do głowy.

- Wskutek tych wypadków i tobie mogłaby się stać krzywda, Andy - głośno myślał Jupiter. - Nie wierzę, aby ona mogła uciec się do takich desperackich środków. Może jest jeszcze jakiś inny wróg twojego ojca, o którym nic nie wiesz. Ktoś, kto ma poważniejsze powody, aby chcieć go zrujnować.

- Nie mam pojęcia. Ale plan tego kogoś zadziała, jeśli nie dowiemy się, czyja to sprawka - powiedział Andy. - Wszyscy pracownicy wesołego miasteczka obawiają się, że znów może się coś wydarzyć.

- Znowu? - zdziwił się Jupiter. - Powinni czuć się teraz bezpieczniej. Przecież już trzykrotnie wyrządzano wam krzywdę.

Andy potrząsnął przecząco głową.

- Pracownicy wesołego miasteczka zgodnie uznali, że ucieczka Rajaha się nie liczy. Nikt nie ucierpiał i nic złego się nie stało, dzięki Pete'owi. W dalszym ciągu wszyscy czekają na trzecie wydarzenie.

- To niebezpieczne - zauważył Bob. - Kiedy ludzie oczekują jakiegoś nieszczęścia, stają się nerwowi i wtedy może się przytrafić coś złego.

Jupiter kiwnął głową.

- Bob ma rację. Tak działają przesady. To, czego ludzie się obawiają, prawie zawsze w końcu się spełnia.

- Tak czy siak - dodał Pete - sprawca tych wypadków na pewno postara się, aby były następne.

- Tego możemy być pewni - powiedział ponuro Jupiter. - Jeszcze jedno mnie niepokoi. Ucieczka Rajaha ma zupełnie inny schemat niż poprzednie wypadki. Miały one miejsce wtedy, gdy

wesołe miasteczko było nieczynne. Nie było w nim nikogo z zewnątrz, kto mógłby na tym ucierpieć. Straty ponosił tylko właściciel wesołego miasteczka. Natomiast gdyby Pete nie zatrzymał Rajaha, mogłoby to się źle skończyć także i dla innych ludzi.

- Może to był rzeczywiście tylko wypadek? - zastanawiał się Pete.

- Nie, jestem przekonany, że nie - zaprotestował Jupiter i zmarszczył brwi. - To będzie trudne do rozwiązania. Musimy poszukać takiego schematu, do którego pasowałyby wszystkie trzy wydarzenia. Myślę, że najwyższy czas, abyśmy poszli do wesołego miasteczka. Czy możesz nas tam wprowadzić, Andy, mimo że jest jeszcze nieczynne?

- Pewnie - odrzekł Andy. - Powiem, że chcecie zobaczyć próby i przygotowania do występów. Wszyscy wiedzą o tym, jak Pete poradził sobie z Rajahem, więc nikt nie powinien dziwić się waszą obecnością w miasteczku.

- A czego szukamy? - zapytał Pete.

- Jeszcze nie wiem - odparł Jupiter. - Przede wszystkim jakiegoś związku pomiędzy tymi trzema wydarzeniami albo czegokolwiek, co świadczyłoby o przygotowywaniu jakiegoś nowego wypadku. Wszystkiego. co wygląda niezwykle lub podejrzanie. Musimy być ostrożni, więc...

Nagle usłyszeli niewyraźny głos wołający z oddali. Pete podbiegł do Wszystkowidzącego.

- To ciotka Matylda - oznajmił. - Woła Boba. Mówi coś o jakiejś wizycie.

- Wizyta u dentysty - jęknął Bob. - Zupełnie o tym zapomniałem.

Jupiter zmarszczył brwi. Pierwszy Detektyw nie cierpiał, by ktoś mu przerywał. Pokiwał głową.

- Lepiej idź - powiedział. - Zaczniemy sami. W razie gdybyśmy musieli się oddalić, żeby kogoś śledzić, weźmiemy mój nowy sygnalizator kierunkowy. Z jego pomocą będziesz mógł nas odnaleźć.

- Coś nowego? - zdziwił się Pete.

- Sygnalizator kierunkowy i alarm, który można uruchomić w razie niebezpieczeństwa - powiedział dumnie Jupiter. - Pracowałem nad tym wczoraj. Dokończyłem to dziś rano, czekając na was. Zdażyłem jednak zrobić tylko dwa egzemplarze, więc jeden weźmiemy my, a drugi Bob. To jest to, czego właśnie teraz potrzebujemy. Musimy się postarać, aby nikt nie spostrzegł, że obserwujemy wesołe miasteczko.

- Jak działa ten twój sygnalizator? - zapytał Andy.

- Jest to sygnalizator kierunkowy - tłumaczył Jupiter. - Coś takiego fachowo nazywa się "homer". Pika w regularnych odstępach czasu. Kiedy dwóch posiadaczy tego urządzenia zbliża się do siebie, zaczyna ono dawać coraz głośniejsze i częstsze sygnały. Ma też wmontowaną tarczę, która pokazuje kierunek, z którego dochodzi sąsiedni sygnał. Strzałka obraca się w stronę prawą, lewą

albo do góry. Każdy egzemplarz ma nadajnik i odbiornik i jest na tyle mały, że można go schować do kieszeni. Na wypadek jakiegoś niebezpieczeństwa zainstalowałem małe czerwone światełko, które zapala się nawet bez dotknięcia! Ma w sobie czujnik dźwiękowy. Gdyby któryś z nas miał jakieś kłopoty, wystarczy w pobliżu urządzenia wypowiedzieć wyraz "pomocy", a czerwone światełko zapali się także na innych egzemplarzach. To lepsze niż walkie-tatki, ponieważ nie wygląda tak podejrzanie.

- O kurczę! - powiedział z podziwem Andy. - Jupiter, ty to potrafisz skonstruować, co tylko chcesz.

- No cóż - Jupiter na moment zawiesił głos. - Staram się po prostu, abyśmy w naszej pracy detektywistycznej wykorzystywali zawsze najnowszą technikę. Nasz sygnał działa w promieniu pięciu kilometrów i może być odbierany tylko przez nasze urządzenie.

- Wezmę sygnalizator i przyjdę do wesołego miasteczka, jak tylko będę mógł - powiedział Bob.

Po czym wyszedł z Kwatery Głównej i wszedł na zostawiony na złomowisku rower. Po drodze powiedział ciotce Matyldzie, że jedzie do dentysty. Jupiter, Pete i Andy w chwilę później udali się rowerami do wesołego miasteczka. Po słonecznym dniu niebo nagle pociemniało. Zaczynało coraz silniej wiać. Gdyby to nie była południowa Kalifornia, chłopcy mogliby oczekiwać deszczu.

Mimo że nie padało, kiedy dotarli na teren wesołego miasteczka, dzień był już mroczny i ponury.

- Andy - zarządził Jupiter, kiedy zsiadli z rowerów - idź do swojego straganu. Zachowuj się tak, żebyś w nikim nie wzbudził podejrzeń. Ale miej oczy szeroko otwarte i obserwuj otoczenie strzelnicy. Pete może przyglądać się artystom trenującym na tamtym placu, a ja się pokręcę między straganami i namiotami. Zwracajcie uwagę na wszystko, co wygląda choć trochę dziwnie lub podejrzanie. Jasne?

Andy i Pete skinęli głowami i zaczęli, niby to od niechcienia, przechadzać się po wyznaczonych stanowiskach, wmieszani w tłumek robotników i artystów.

W gabinecie dentystycznym Bob zastał lekarza zajętego pacjentem, który został przyjęty bez kolejki, bo przyszedł z bólem zęba. Chłopiec musiał poczekać. Zniecierpliwiony, przeglądał wszystkie gazety i kipiał ze złości, że dotrze do wesołego miasteczka jeszcze później, niż przypuszczał.

Kiedy skończył czytać wiadomości, postanowił sprawdzić, czy w pierwszym wydaniu wieczornej gazety z Rocky Beach zamieszczono informacje o wesołym miasteczku albo o ucieczce Rajaha. Nie znalazł wzmianek o lwie, ale za to trafił na artykuł o wesołym miasteczku, reklamujący jego atrakcje i zachęcający publiczność do odwiedzania tego miejsca.

Bob, którego tata był dziennikarzem jednej z większych gazet w Los Angeles, od razu spostrzegł, że ten artykuł był czymś, co profesjonaliści nazywają "handout". Reporter wcale nie był

w wesołym miasteczku. Napisał tekst na podstawie informacji udzielonych mu przez jakiegoś pracownika wesołego miasteczka. To praktyka często stosowana w większości małych gazet, które nie mogą pozwolić sobie na wysłanie dziennikarza, który by na podstawie własnych obserwacji opisał takie mało ważne wydarzenie. Gazeta była najwyraźniej zainteresowana tym, żeby wesołe miasteczko dobrze prosperowało. Lokalni sklepikarze mogliby wtedy mieć lepszy dochód, sprzedając swoje towary klientom przyciągniętym przez przyjezdne atrakcje. Na szczęście ubiegłego wieczoru w wesołym miasteczku nie było żadnego reportera, bo mógłby przypadkiem zobaczyć Pete'a i Rajaha albo usłyszeć o tym wypadku. Gdyby gazety napisały o ucieczce lwa, władze miejskie mogłyby cofnąć wesołemu miasteczku zgodę na występy.

Nagle uwagę Boba przyciągnęło małe ogłoszenie:

POSZUKIWANE WYPCHANE KOTY

Dom dziecka poszukuje wypchanych kotów o szczególnym kształcie. Muszą mieć pręgowaną czarno-czerwoną sierść, skrzywiony tułów, jedno oko i czerwoną obrozę. Zapłacimy 25\$ za każdego wypchanego kota, odpowiadającego opisowi. Dzwonić pod numer 7-2222 w Rocky Beach.

Bob aż podskoczył. Opis idealnie pasował do wypchanego kota, którego Pete wygrał i stracił poprzedniej nocy! Bob wydarł ogłoszenie z gazety i pobiegł do drzwi gabinetu.

- Panie doktorze, muszę już iść - zawołał i zanim dentysta zdążył zaprotestować, wybiegł z budynku i wsiadł na rower.

Rozdział 8

Kto szuka wypchanego kota?

Pete już od godziny obserwował wesołe miasteczko. Było nadal pochmurno. Do tej pory nic nadzwyczajnego się nie wydarzyło. Drugi Detektyw wałęsał się wokół placu, na którym odbywały się próby wieczornych przedstawień.

Dwaj klauni ćwiczyli nowy repertuar, którego chłopcy jeszcze nie widzieli. Wysoki, smutny klaun miał cienką miotłę i śmietniczkę na długiej rączce. Chodził wokół, zmiatając śmiecie. Za każdym razem, kiedy podnosił szufelkę, odpadało jej dno i wszystkie brudy lądowały z powrotem na ziemi. Wysoki komik patrzył ze smutkiem na daremną pracę, a jego mały, tłusty kolega złośliwie fikał kozły z uciechy.

Półkacz ognia pracował z płonącymi główniami, zatkniętymi na ostrzach mieczy. Pete patrzył rozwartymi ze zdumienia oczami, jak mężczyzna spokojnie wkłada do ust palące się pochodnie.

Siłacz Khan podnosił ciężary i darł na kawałki grube książki. Pete zwracał na niego szczególną uwagę, ale Khan nie robił nic podejrzanego.

Wielki Iwan trenował Rajaha wewnątrz klatki, w której odbywały się przedstawienia. Uczył Iwa nowych sztuczek, wykorzystując pasiaste balie, pomalowane przez chłopców.

Dwóch linoskoków przygotowywało pokaz niesłychanych umiejętności. Z niezwykłym poczuciem równowagi balansowali na linie, rozciągniętej pomiędzy dwoma wysokimi słupami.

Pete przyglądał się temu wszystkiemu, udając że jest zaciekawiony tylko i wyłącznie wyczynami artystów.

Niestety, na placu nic dziwnego się nie działo.

Tymczasem Jupiter grasował pomiędzy budkami i namiotami, gdzie robotnicy przygotowywali wszystko na przybycie wieczornych gości. Nie pominął żadnego straganu, namiotu widowiskowego ani karuzeli, wielokrotnie przechodząc obok tych samych miejsc. On także nie dostrzegł niczego, co mogłoby wyglądać podejrzanie. Właśnie przystanął, aby popatrzeć na wirującą karuzelę, kiedy dołączył do niego Andy Carson. Chłopiec skończył już pracę na strzelnicy.

- Nie testujecie diabelskiego młyna, Andy? - zapytał Jupiter, wskazując na nieruchomą karuzelę z gondolami nakrytymi płótnem.

- Eksploatacja za dużo kosztuje - wytłumaczył Andy. - Włączamy ją tuż przed otwarciem wesołego miasteczka i dopiero wtedy odbywa się próbna jazda.

- Czy macie jakiegoś mechanika, który dogląda karuzeli?

- No pewnie, tata robi to osobiście.

Jupiter zamyślił się.

- To najważniejsza karuzela. Prawie symbol całego wesołego miasteczka. Jeśli...

- Jupiter! - przerwał mu Andy - jedzie Bob. Wygląda na podnieconego!

Bob podjechał rowerem najpierw po Pete'a, a potem obaj chłopcy dołączyli do Jupitera i Andy'ego. Bob zaczął mówić, zanim zdążył zsiąść z roweru.

- Ktoś poszukuje wypchanych kotów! Dokładnie takich jak ten, którego zgubiłem! - zawołał Pete.

- Nie sądzę, żeby Pete go zgubił - powiedział Bob, szukając w kieszeniach ogłoszenia, które wyrwał z gazety. - Myślę, że ktoś go ukradł. Spójrz na to, Jupe!

Chłopcy stanęli wokół Jupitera, odczytującego krótką notatkę. Oczy Pierwszego Detektywa zaczęły błyszczeć.

- To na pewno dotyczy kota Pete'a - zgodził się. - Andy, ile miałeś tych wypchanych kotów?

- W Rocky Beach pięć - odparł Andy. - Ten, którego wygrał Pete, był ostatni.

Jupiter skinął głową.

- Był ostatni i Pete go zgubił. Albo, jak przypuszcza Bob, ktoś go ukradł. Jeśli Bob ma rację, to tego kota ukradziono już po raz drugi. Pamiętacie tego wysokiego staruszka, który go zabrał, a potem zgubił po drodze? Chłopaki, myślę, że w końcu wszystko zaczyna się układać w logiczną całość.

- Jaką całość? - zdziwił się Bob.

- Ktoś chce zdobyć te koty - stwierdził Jupiter. - Albo wszystkie, albo tylko jednego z nich. To tłumaczy, dlaczego wypuszczono Rajaha.

- Dlaczego? - zapytał Bob.

- Żeby odwrócić naszą uwagę - oświadczył Jupiter. - Kiedy ten starszy człowiek nie zdołał ukraść kota, musiał znów przyjść do wesołego miasteczka i obserwować strzelnicę. Dostrzegł, że Pete wygrał kota. Gdy strzelaliśmy, żeby wygrać globus, postanowił wypuścić lwa. Kiedy wy dwaj i Andy poszliście do przyczepy, podprowadził Rajaha blisko was, chcąc odwrócić uwagę Pete'a. Pete upuścił kota i zupełnie o nim zapomniał, zajęty lwem, tak jak my wszyscy. Odeszliśmy, a wążacz podniósł kota i uciekł.

- O rany - powiedział Pete - musiało mu strasznie zależeć na tym kocie. Najwidoczniej wypchany zwierzak przedstawiał jakąś szczególną wartość.

- Tak, na pewno - zgodził się Jupiter. - Andy, czy te wypchane koty były w jakiś sposób wyjątkowe? Może wiesz, dlaczego tak chciał zdobyć je wszystkie lub jednego z nich?

Andy potrząsnął głową przecząco.

- Nie mam pojęcia. Nie wiem o nich niczego specjalnie ciekawego.

Jupiter zadumał się. Chłopcy spoglądali na niego wyczekująco. Przysadzisty Pierwszy Detektyw zagryzł wargi.

- Są tylko trzy możliwości - oświadczył. - Po pierwsze, być może, ktoś pragnie mieć wszystkie te koty dla siebie, zgodnie z treścią ogłoszenia. Musiałyby mieć ku temu wyjątkowe powody. Po drugie, może wszystkie wypchane koty razem coś znaczą.

- Tak jak papugi w "Tajemnicy jękającej się papugi"? - zapytał Bob.

Bob przypominał o jednym z dochodzeń, które prowadzili chłopcy. Chodziło tam o kilka papug.

Każda z nich umiała powtórzyć część wiadomości, która pomogła rozwiązać zagadkę.

- No właśnie - potwierdził Jupiter. - Po trzecie, coś wartościowego może być na zewnątrz lub wewnątrz jednego z kotów, coś, o czym Andy nie wie.

Niespodziewanie zwrócił się do chłopca z wesołego miasteczka:

- Andy, czy byliście z wesołym miasteczkiem w Meksyku albo gdzieś w pobliżu granicy?

- Nie - potrząsnął głową Andy. - Tylko w Kalifornii.

- Dlaczego pytasz o Meksyk? - zdziwił się Bob.

- Myślałem o przemytnikach - wytłumaczył Jupiter. - Przemytnicy często chowają towary do środka takich rzeczy, jak te wypchane koty. Skąd macie te koty, Andy?

- Z Chicago - odparł Andy. - Tata kupił je bezpośrednio od dostawcy nagród.

Jupiter zmarszczył brwi.

- No tak, te koty na pewno mają w sobie coś wyjątkowego. Musimy odkryć, co to jest. Jedno tylko mnie dziwi. Dlaczego ten starzec próbował ukraść właśnie ostatniego wypchanego kota? Andy, czy jesteście w Rocky Beach dopiero trzeci dzień?

- Tak. Daliśmy do tej pory dwa przedstawienia. Przyjechaliśmy w nocy, po ostatnim pokazie w San Mateo.

- Kiedy dokładnie rozdałeś te koty? - zapytał Jupiter.

- Cztery pierwszego wieczoru w Rocky Beach - powiedział Andy - a piątego wygrał wczoraj Pete.

- Dlaczego pierwszego wieczoru rozdaliście aż cztery koty? Czy to nie za dużo jak na pierwszą nagrodę?

- Zawsze staramy się, aby podczas pierwszego pokazu w jakiejś miejscowości było wielu zwycięzców - tłumaczył Andy. - Chcemy, aby ludzie wracali do domów i opowiadali o wygranych. To doskonała reklama. Pozwoliłem, aby wszyscy, którzy byli bliscy zwycięstwa, wygrali koty.

- Czy wypchane koty były zawsze pierwszymi nagrodami? - zainteresował się Pierwszy Detektyw.

- Ależ nie. Często zmieniam pierwsze nagrody. Podczas pożaru w San Mateo straciłem najlepsze fanty i dlatego tutaj pierwszymi nagrodami były wypchane koty.

Jupiter zamyślił się.

- Trzymasz nagrody w tej przyczepie? Czy są tam bezpieczne?

- Chyba tak, przyczepę zawsze zamykam. Gdy wesołe miasteczko jest nieczynne, doczepiamy ją do naszego samochodu kempingowego, a on ma system alarmowy. To konieczne, bo wielu ludzi, głównie dzieci, próbuje zwędzić nam różne rzeczy. Poza tym, ktoś się zawsze kręci niedaleko samochodu, a gdy strzelnica działa, stawiam zamkniętą przyczepę w jej pobliżu, tak abym ją mógł mieć na oku.

- Nie jest więc łatwo niepostrzeżenie ukraść coś z przyczepy?

- No pewnie - oświadczył Andy. - To znaczy, ktoś mógłby się do niej włamać bez trudu w nocy albo w ciągu dnia, kiedy alarm jest wyłączony. Ale wtedy zostałby na pewno przez kogoś zauważony. Mógłby wyważyć zamek i potem uciec, ale na pewno byśmy to spostrzegli.

- Taak - wycedził Jupiter. Chłopcy niemalże mogli widzieć koła zębate obracające się w głowie Pierwszego Detektywa. – Wyjechaliście z San Mateo z pięcioma wypchanymi kotami. Dotarliście od razu tutaj. Pomiędzy San Mateo a Rocky Beach kradzież kotów byłaby bardzo trudna, bo ktoś by to na pewno szybko spostrzegł. Otworzyłeś strzelnicę dopiero tutaj i od razu rozdałeś cztery koty jako pierwsze nagrody. Potem, ubiegłego wieczoru, wąsaty staruszek w ciemnych okularach próbował zdobyć ostatniego kota. Nie udało mu się i dostał go Pete. Rajaha wypuszczono z klatki i Pete stracił tego wypchanego kota. Teraz ktoś poszukuje zwierzaków, wyglądających jak te twoje koty.

- Tak właśnie było, masz rację - przyznał Andy. - Ale co z tego wynika?

Oczy Jupitera błysnęły w pewien szczególny sposób, dobrze znany Bobowi i Pete'owi. Znaczyło to, że Jupiter był na tropie prowadzącym do rozwiązania zagadki.

- Jedną z okoliczności sprawy jest szczególnie ważna - oznajmił krępy lider detektywów. - Do ubiegłego wieczoru nikt nie usiłował ukraść żadnego z twoich kotów i w ogóle nie próbował włamać się do przyczepy. Według mnie można wyciągnąć z tego dwa wnioski.

Jupiter spojrział na kolegów błyszczącym wzrokiem.

- Jestem przekonany, że te wypchane koty zyskały wartość dopiero w ciągu ostatnich kilku dni. Poza tym, człowiek, który chce zdobyć te zwierzaki, z pewnością jest pracownikiem wesołego miasteczka.

Rozdział 9

Plan Jupitera

- To niemożliwe - zaprotestował Andy. - Żaden z pracowników wesołego miasteczka nie wygląda tak jak ten wąsaty staruszek.

- To najprostsze przebranie - odrzekł Jupiter. - Wąsy były gęste, a na głowie miał kapelusz, który skrywał mu twarz. W dodatku założył ciemne okulary, mimo że była już prawie noc.

- No tak - zauważył Pete - ale przecież pracownik wesołego miasteczka mógł w każdej chwili zabrać kota z przyczepy.

- No pewnie - zgodził się Bob. - Nie potrzebowałyby przebrania ani szczególnych sztuczek. Wśliznęłyby się do przyczepy i ukradłyby kota.

- Mylisz się. Właśnie to, że nie było żadnych prób kradzieży z przyczepy, przekonało mnie - oświadczył Jupiter. - Ktoś z zewnątrz po prostu włamałby się i potem by uciekł. Nawet gdyby zdawał sobie sprawę z tego, jak trudno jest ukraść zwierzaki, nie musiałyby się tym przejmować, bo zdołałyby uciec. Co więcej, nie musiałyby się obawiać, że ktoś go rozpozna.

- No i co z tego? - zapytał Bob.

- Pracownik wesołego miasteczka musiał się przebrać, bo naraziłby się na ryzyko, że ktoś go pozna - kontynuował Jupiter. - Wiedział, jak trudna jest kradzież z przyczepy. Nie mógł zabrać zdobyczy i uciec, bo od razu jego zniknięcie zostałoby zauważone! A gdyby nie uciekł, ktoś mógłby go dojrzeć z kotami na terenie wesołego miasteczka. A przede wszystkim, kradzież kotów z przyczepy dowiodłaby wszystkim, że mają one dla kogoś jakąś wartość!

- O rany! - powiedział Pete z uniesieniem. - Myślisz, że złodziej chciał, żeby nikt nie zauważył tego, że jakakolwiek kradzież w ogóle miała miejsce?

- Właśnie o to chodzi - oznajmił tryumfalnie Jupiter. - Myślę, że pragnął, żeby nikt nie zwrócił uwagi na te powykrzywiane koty, ponieważ ich wartość jest w jakiś sposób związana z wesołym miasteczkiem! Jestem pewien, że złodziej obawiał się, że ktoś to może odkryć, gdyby dostrzeżono kradzież kotów. To mogłoby go wpędzić w kłopoty. Natomiast dla człowieka spoza wesołego miasteczka sprawy te nie miałyby żadnego znaczenia.

- Bo ja wiem, może masz rację - powiedział niepewnie Andy.

- Jestem o tym przekonany - stwierdził kategorycznie Jupiter. - To, że złodziej czekał aż do zeszłej nocy, aby ukraść przynajmniej ostatniego kota, jeszcze mnie w tym utwierdza. Ponieważ jest pracownikiem wesołego miasteczka, musiał zachować ostrożność, ale z drugiej strony mógł czekać aż do ostatniej chwili! Chciał wykorzystać odpowiednią okazję, żeby zdobyć koty w sposób budzący jak najmniej podejrzeń. Tylko pracownik wesołego miasteczka mógł przebywać wystarczająco blisko Andy'ego i przyczepy, tak by zdążyć wybrać najdogodniejszy moment. Tyle że czekał na niego zbyt długo.

- Za długo? - zdziwił się Pete.

- Tak. Pamiętasz, Andy powiedział, że koty nie były wcześniej używane jako pierwsza

nagroda. Potem, pierwszego wieczoru w Rocky Beach, rozdał od razu cztery koty. Na pewno zaskoczyło to złodzieja. Większość zwierzaków przepadła. Tajemniczy osobnik musiał działać szybko. Zdobył ostatniego kota, ale od razu go stracił. Był tak zdesperowany, że zdecydował się na ryzykowne posunięcie - wypuścił Rajaha.

- Rajaha ktoś przyprowadził tam, gdzie Pete mógł go zobaczyć - ożywił się Andy. - Tylko człowiek znający lwa odważyłby się to zrobić!

- Jupiter powiedział wczoraj, że dla kogoś znającego Rajaha nie było to wcale niebezpieczne - dodał Bob.

- Ten człowiek był zdecydowany na wszystko - powtórzył Jupiter. - Teraz jest jeszcze bardziej zdesperowany. Musiał zamieścić w gazecie to ogłoszenie, próbując odnaleźć pozostałe koty. To znaczy, że albo kot Pete'a nie jest tym, którego szukał, albo chce zdobyć je wszystkie.

Bob kiwnął głową.

- Myślę, że masz rację. Ale dlaczego powiedziałeś, że wypchane koty zyskały wartość dopiero w ciągu kilku ostatnich dni?

- Ponieważ przez trzy tygodnie przed pożarem w San Mateo nic się nie wydarzyło - tłumaczył Jupiter. - Jeżeli rzeczywiście był to wypadek, wszystko potoczyło się po nim bardzo szybko. Myślę, że ten pożar był pierwszą próbą zdobycia kotów. Czy w San Mateo miałeś już te koty na strzelnicy, Andy?

- Tak, myślę, że kilka z nich tam było - powiedział Andy. - Ale nie rozdawałem ich w nagrodę.

- Posłuchaj, Jupe - zaczął Bob - mówiłeś, że złodziej czekał na okazję. Ale jeśli próbował zdobyć koty już w San Mateo, czy to nie podważa twojej teorii?

- Oczywiście, że nie - zaprotestował trochę już zniecierpliwiony Jupiter. - Mówiłem, że czekał na dobrą okazję. Może próbował w San Mateo, nie udało mu się i musiał to odłożyć do czasu, aż będzie miał następną szansę. Poza tym, ten pożar mógł wybuchnąć z zupełnie innych powodów. To jedna z rzeczy, które musimy wyświecić. Trzeba się dowiedzieć, o co tu chodzi i kto tak bardzo pragnie mieć te koty.

- Masz pomysł, jak to zrobić? - zapytał Pete.

Jupiter zamyślił się.

- Zostaniesz tutaj. Znajdź miejsce, z którego będziesz mógł obserwować każdego, kto wychodzi z wesołego miasteczka.

- O rany, naprawdę muszę tu zostać? - jęknął niepocieszony Pete.

- Tak, ponieważ jestem przekonany, że złodziej jest pracownikiem wesołego miasteczka - wytłumaczył Jupiter. - Będzie musiał stąd wyjść, spotkać się z ludźmi, którzy odpowiedzą na jego

ogłoszenie. Chyba że ma współnika. Ale z tego, jak on się zachowuje, wnioskuję, że działa w pojedynkę. Powinieneś dostrzec coś podejrzanego. Bob, daj Pete'owi swój sygnalizator kierunkowy. Weźmiemy ze sobą ten, który ja mam.

- Idziecie gdzieś? - zapytał Andy. - Może mógłbym pójść z wami?

- Dobrze, ale musimy się pospieszyć - odrzekł Jupiter.

- Dokąd idziecie? - zawołał Pete.

Pytanie obito się o plecy chłopców pędzących po rowery. Gdy Jupiter ma plan działania, bardzo rzadko traci czas na tłumaczenie go swoim przyjaciołom. Pete żałośnie patrzył na kolegów, znikających poza ogrodzeniem wesołego miasteczka. Samotny rozejrzał się za miejscem, w którym mógłby się ukryć i obserwować oba - główne i boczne - wyjścia z wesołego miasteczka. Jego wzrok padł na wysokie ogrodzenie opuszczonego parku zabaw. Znajdował się on około dwudziestu metrów od bramy głównej wesołego miasteczka.

Na tym odcinku w wysokim płocie było sporo dziur, a znad niego wystawały belki starej kolejki górskiej. Wyglądało to na doskonałą kryjówkę, z której można obserwować wesołe miasteczko. Pete popatrzył uważnie wokół. Uznał, że nikt na niego nie zwraca uwagi. Wszyscy byli bardzo zajęci. Drugi Detektyw ostrożnie wymknął się z wesołego miasteczka i ruszył w stronę dziury w płocie, prowadzącej do starego lunaparku.

Jeszcze raz sprawdził, czy nikt go nie śledzi, i przecisnął się do środka.

Przeszedł obok ledwo stojących budynków, w których dawno temu mieściły się jakieś atrakcje parku zabaw. Podszedł do kolejki górskiej. Wspiął się na zbudowane ze starych belek rusztowanie, które niegdyś podtrzymywało tory kolejki. Na górze znalazł miejsce, z którego nie zauważony przez nikogo, mógł przyglądać się bramie wesołego miasteczka.

Usiadł skulony pomiędzy belkami i rozejrzał się dookoła. Z niepokojem patrzył w otaczający go głuchy mrok. Stare drewniane konstrukcje, smagane zimnym wiatrem, trzeszczały i jęczały pośród tego pustkowiecia. Czuł się tak, jakby płot oddzielał go od całego świata.

Zniszczona kolejka górską groźnie wznosiła się nad jego głową w głębokiej szarości popołudnia. Dom Śmiechu, stojący pomiędzy miejscem, gdzie siedział, a parkanem, wyglądał niesamowicie. Wejście do niego wymalowano na podobieństwo wielkich, uśmiechniętych ust. Z prawej strony, nad brzegiem oceanu, ciągnęły się powykrzywiane i dziurawe ściany Tunelu Zakochanych. Wąski strumyk ospałej wody pluskał u jego wejścia. Kiedyś małe łódki czekały tu na zakochanych, pragnących odbyć romantyczny rejs.

Pete siedział na swojej grzędzie i czuł się bardzo samotny. Nagle zdwoił czujność. U wyjścia z wesołego miasteczka pojawiła się jakaś postać. Mężczyzna rozejrzał się i ruszył szybkim krokiem w stronę handlowej dzielnicy Rocky Beach. Pete ze skupieniem patrzył na oddalającego się człowieka. Wyglądał znajomo, ale ubrany był w normalne miejskie ubranie i z odległości pięćdziesięciu metrów, w mrocznym świetle, Pete nie mógł go rozpoznać.

Czy to Khan? Pete miał wrażenie, że dostrzega potężne ramiona siłacza i może jego brodę. Nie mógł jednak stwierdzić, czy mężczyzna ma bujne, zmierzwione włosy, gdyż skrywał je kapelusz. Bez czarno-złoty spodni wyglądał zupełnie inaczej niż w wesołym miasteczku i chłopiec nie był pewien, czy jego przypuszczenia są słuszne.

W chwilę później, gdy podekscytowany Pete w dalszym ciągu wyteżał wzrok, w bramie głównej pojawił się inny mężczyzna. Wysoki, znów jakby znajomy i ponownie Pete nie był pewien. Czy to Wielki Iwan w miejskim ubraniu?

Serce Pete'a zabiło mocniej, gdy uświadomił sobie prawdę. Z odległości pięćdziesięciu metrów nie potrafi rozpoznać artystów z wesołego miasteczka, ponieważ nie są ubrani w swoje kostiumy. Nie znał ich wystarczająco dobrze.

Jego obawy potwierdziły się, gdy wesołe miasteczko opuściło jeszcze dwóch innych mężczyzn. Jeden z nich był stary, siwy i wysoki, a drugi łysy, w średnim wieku. Ten drugi to mógł być połykacz ognia, a pierwszego w ogóle nie mógł rozpoznać.

Drugi Detektyw jęknął zrozpaczony, lecz przyglądał się bramie. Coraz więcej ludzi wychodziło teraz z wesołego miasteczka. Pete domyślił się, że skończyły się już przygotowania do wieczornych występów. Nawet jeśli udałoby mu się rozpoznać poszczególne osoby, nic by to nie pomogło. Miał wrażenie, że wszyscy pracownicy opuszczają wesołe miasteczko, korzystając z popołudniowej przerwy w pracy.

W końcu z bramy wyszedł ktoś, kto miał znajomą twarz i sylwetkę - pan Carson we własnej osobie. Tata Andy'ego wsiadł do małego samochodu i odjechał. Pete podniósł się ze stanowiska. Zastanawiał się, czy powinien zostać w kryjówce, czy lepiej byłoby poszukać kolegów.

Gdy próbował coś postanowić, stary park zabaw zatrzęsł się wokół niego od gwałtownego podmuchu wiatru.

Rozdział 10

Wytatuowany mężczyzna

Jupiter, Bob i Andy powierzyli Pete'owi rolę obserwatora, a sami odjechali z wesołego miasteczka. Pierwszy Detektyw poprowadził ich wprost na złomowisko. Podczas gdy Bob i Andy czekali koło rowerów, Jupiter bez słowa zniknął pomiędzy górami rupieci.

- Co on teraz robi? - zapytał Andy.

- Nie wiem - przyznał Bob. - Gdy Jupiter ma jakiś wielki plan, zwykle przed przystąpieniem do akcji zapomina nam go wyjaśnić. Ale Pierwszy Detektyw wie, co robi.

Słyszeli trzaski i łomot dochodzący spośród zwałisk złomu. Wyglądało to tak, jakby Jupiter rzucał jakieś ciężkie przedmioty. W końcu usłyszeli okrzyk tryumfu i krępy chłopiec wynurzył się po chwili obok kolegów. Był uśmiechnięty od ucha do ucha. W rękach trzymał dziwny, obszarpany przedmiot.

- Wiedziałem, że mamy tu coś takiego - tryumfował. - Na złomowisku Jonesa można wszystko znaleźć!

Podniósł do góry jednego z najbardziej zniszczonych wypchanych kotów, jakiego Bob i Andy kiedykolwiek widzieli. Miał sierść w czarno-białe łaty, postrzępione nogi, brakowało mu jednego oka i w dodatku sypały się z niego trociny, którymi był wypchany.

- Po co ci ten obszarpaniec? - zapytał Andy.

- Jak to po co? Żeby odpowiedzieć na ogłoszenie - odparł Jupiter.

- Ależ, Jupe - zaprotestował Bob - przecież to zwierzę w niczym nie przypomina wypchanych kotów Andy'ego!

- Ale będzie wyglądał podobnie - zapewnił Jupiter. - Chodźcie ze mną.

Pospieszył do Tunelu Drugiego, a z niego do Kwatery Głównej. Bob i Andy ruszyli za nim. Jupiter podszedł od razu do małego warsztatu, stojącego w rogu przyczepy.

- Bob, zadzwoń pod numer z ogłoszenia i dowiedz się, gdzie mamy się zgłosić.

Podczas gdy Bob telefonował. Jupiter zajął się wypchanym kotem. Aby zreperować i zrekonstruować zwierzaka, używał pędzla do malowania, suszarki, igły i nici oraz poskręcanych kawałków drutu. Pracował szybko, w milczeniu i tylko oczy mu lśniły z podniecenia. Bob odwiesił słuchawkę i podszedł do Andy'ego, stojącego obok warsztatu.

- Masz ten adres? - zapytał Jupiter, nie odrywając oczu od pracy.

- Pod tym numerem zgłosił się ktoś z biura zleceń - odparł Bob. - Powiedzieli mi, żebym poszedł na ulicę San Roque, numer 47. To tylko około dziesięciu przecznic stąd.

- W porządku. Mamy sporo czasu, ponieważ ogłoszenie ukazało się dopiero w gazecie popołudniowej. Złodziej prawdopodobnie użył serwisu informacyjnego, bo nie mógł od razu podać adresu.

Pół godziny później Jupiter z satysfakcją wstał znad warsztatu i zawiązał wokół szyi kota obrozę, ufarbowaną na czerwono.

- Popatrzcie! Wypchany czerwono-czarny kot z czerwoną obrozą i jednym okiem. Mam nadzieję, że drut odpowiednio wykrzywia mu nogi.

- Nadal nie wygląda jak kot Andy'ego - stwierdził Bob.

- Jak na nasze potrzeby to wystarczy - odrzekł Jupiter. - Chodźmy go sprzedać!

Po piętnastu minutach Bob, Andy i Jupiter przykucnęli pośród kępy palm, nie opodal numeru 47, przy ulicy San Roque. Był to niewielki, ozdobiony sztukaterią dom, stojący daleko od ulicy. Nad drzwiami wisiał wyblakły znak informujący o tym, że kiedyś mieszkał tam i pracował zegarmistrz. W pochmurne popołudnie budynek wyglądał na opuszczony. Nie miał zasłon w oknach, a wewnątrz nie paliło się żadne światło.

Ulica była jednak zatłoczona. Grupa chłopców i dziewcząt pętała się w tę i z powrotem, ściskając w rękach wypchane koty. Były to zwierzaki różnych kształtów i maści. Ktoś powinien oczekiwać na tych gorliwych sprzedawców, ale nie ulegało wątpliwości, że drzwi domu są zamknięte.

- Większość tych kotów zupełnie nie zgadza się z opisem - zauważył Bob. - Czy te dzieciaki potrafią czytać?

- Każdy z nich ma nadzieję, że kupujący zrobi wyjątek właśnie dla niego - stwierdził Jupiter. - Chcą dostać dwadzieścia pięć dolarów za kota wartego może z dziesięć.

- Ludzie zawsze pragną dostać coś za nic - powiedział Andy. - Pracownicy wesołego miasteczka dobrze o tym wiedzą.

W tej właśnie chwili mały, niebieski samochód zatrzymał się w alei za domem. Ktoś z niego wysiadł i popędził dookoła, aby dotrzeć do drzwi frontowych. Był zbyt daleko i poruszał się za szybko, tak że chłopcy nie mogli mu się dokładnie przyjrzeć,

Mężczyzna otworzył drzwi do niewielkiego domu i tłum gorliwych sprzedawców kotów ruszył za nim do środka. Andy zaczął kręcić się z podniecenia.

- Jupiter, co robimy? - zapytał niecierpliwie.

- Poznajesz ten niebieski samochód?

Andy spojrzał uważnie na stojący w znacznej odległości pojazd.

- Nie, chyba nigdy wcześniej go nie widziałem. Większość pracowników wesołego miasteczka ma duże samochody, żeby mogły ciągnąć ich przyczepy.

- Świetnie - Jupiter kiwnął głową. - Andy i ja zostaniemy tu i popatrzymy. Jeden z nas może za kilka minut zakraść się bliżej i dokładnie obejrzeć samochód. Mimo wszystko musimy być ostrożni i uważać, aby nikt nas nie dostrzegł. Nie sądzę, żeby złodziej podejrzewał, że ktoś go śledzi. Poza tym, jeśli moje przypuszczenia są słuszne i jest on pracownikiem wesołego miasteczka, to natychmiast rozpozna ciebie, Andy.

- A co ja mam robić? - zapytał Bob. - Pójść tam?

- Tak - zarządził Jupiter. - Wejdiesz tam i spróbujesz sprzedać wypchanego kota. Wydaje mi

się, że nie będzie chciał go kupić, ale przynajmniej zobaczysz, kto to jest. Może dowiesz się, dlaczego te wypchane koty mają tak wysoką wartość.

- Nie ma sprawy - powiedział Bob i wsiadł na rower.

Trzymając sfalszowanego wypchanego kota. Bob popedałował długą alejką do domu ozdobionego sztukaterią. Podjechał do drzwi i zsiadł z roweru. Dołączył do potoku chłopców i dziewcząt, ciągnących do środka.

Wszedł do pokoju gościnnego. Oprócz kilku krzeseł i długiego stołu nie było tam innych mebli. Za stołem, na krześle, siedział mężczyzna, prawie niewidoczny pośród tłumu dziewcząt i chłopców. Brał do ręki po jednym kocie i uważnie przyglądał się każdemu.

- Nie, przykro mi, te trzy zupełnie się nie nadają - powiedział mężczyzna ochryłym głosem do dwóch starszych chłopców. - Zrozumcie, potrzebny mi jest ściśle określony rodzaj kotów. Nie, ten też nie jest dobry. Przykro mi. W ogłoszeniu napisałem dokładnie, jakich kotów poszukuję.

Nagle kupiec wyciągnął rękę po kota, który wyglądał identycznie, jak ten, którego wygrał i stracił Pete w wesołym miasteczku. Bob przyjrzał się uważnie wielkiemu statkowi, wytatuowanemu na lewym przedramieniu mężczyzny. Był wyraźny i nie można go było pomylić z żadnym innym tatuażem.

- Świetnie, to jest właśnie to, o co mi chodzi - powiedział wytatuowany człowiek i wręczył właścicielowi kota dwadzieścia pięć dolarów.

Bob go nie słuchał. Pomyślał, że gdyby mężczyzna był pracownikiem wesołego miasteczka, to Andy powinien znać ten tatuaż! Bob patrzył teraz na śniadą twarz wytatuowanego mężczyzny, którego oczy błysnęły, kiedy wskazał na Trzeciego Detektywa.

- Hej, ty w czerwonym swetrze. Mogę obejrzeć twojego kota?

Bob podszedł do stołu, próbując ukryć przerażenie. Mężczyzna wyciągnął rękę po kota. Spojrzał na sfalszowanego zwierzaka i uśmiechnął się do chłopca.

- No tak, podreperowano go, ale dość zręcznie. Na pewno spodoba się moim dzieciakom. Proszę, synu, oto pieniądze.

Bob nie wierzył własnym uszom. Wziął dwadzieścia pięć dolarów, nie wiedząc, co się dzieje. Gapił się osłupiały na wytatuowanego człowieka, lecz ten, na szczęście, był już zajęty oglądaniem innych kotów. Bob ocknął się i odszedł od stołu.

Po chwili spostrzegł stos wypchanych kotów, leżących na podłodze, za stołem. Jeden z nich przed chwilą należał do Boba. Drugi też nie był podobny do kota wygranego przez Pete'a, ale dwa pozostałe wyglądały tak samo, jak ten ze strzelnicy.

Do pokoju wchodziło coraz mniej dzieci. Bob zawahał się. Nie wiedział, czy lepiej będzie wyjść teraz, zanim zwróci na siebie uwagę, czy powinien zostać, żeby dowiedzieć się czegoś więcej

o wypchanych kotach. Zdecydował, że poczeka jeszcze chwilkę.

- Potrzebne mi są zwierzaki przypominające wielkiego kota, który jest maskotką domu dziecka - tłumaczył wytatuowany mężczyzna kilku niezadowolonym chłopcom. - Tego kota wypchano dawno temu w Niemczech. Szukamy podobnych do niego po to, żeby podarować je naszym wychowankom pod choinkę, na Boże Narodzenie.

- Chyba znam kogoś - powiedział chłopiec, którego zwierzak został przed chwilą odrzucony - kto ma to, o co panu chodzi. Mój przyjaciel, Billy Mota, wygrał takiego kota w wesołym miasteczku.

- Naprawdę? - zdziwił się wytatuowany mężczyzna. - Niestety, jak przypuszczam, nie przeczytał mojego ogłoszenia, a ja jestem tu tylko dzisiaj.

- On mieszka niedaleko mnie, przy placu Chetham numer 39 - wyrzucił chłopiec jednym tchem.

- Nie będę miał czasu, żeby tam pójść - odparł mężczyzna.

Przez moment Bobowi wydawało się, że ciemne oczy smagłego mężczyzny błysnęły w jego kierunku. Nie był jednak pewien, czy wyobraźnia nie płata mu figli. W pokoju zostało już tylko kilku chłopców. Bob pomyślał, że za chwilę będzie się za bardzo rzucał w oczy.

Mężczyzna był zajęty kupnem następnego zwierzaka, wyglądającego tak jak ten, którego stracił Pete. Bob niepostrzeżenie wysliznął się z budynku. Wsiadł na rower i popedałował w stronę kępy palm. Jupiter i Andy powitali go niecierpliwie.

- Strasznie długo tam siedziałeś - powiedział Andy.

- Próbowałem się dowiedzieć, dlaczego tak mu zależy na tych kotach, ale nie udało mi się - wytłumaczył Bob. - Przyjrzałem się jednak temu mężczyźnie. Jest bardzo wysoki, śniady i ma wytatuowany wielki statek na lewej ręce. Andy, widziałeś kiedykolwiek takiego człowieka w wesołym miasteczku?

- Wytatuowany statek? - Andy zmarszczył brwi. - Nie, Bob, nigdy. Niektórzy robotnicy mają tatuaże, ale nie takie. Nie znam nikogo, kto mógłby tak wyglądać.

Jupiter zamyślił się.

- Być może chowa ten tatuaż pod ubraniem, albo jego obecny wygląd to kolejne przebranie. Andy przeszukał samochód, ale nie znalazł żadnych śladów. Zabraliśmy jego prawo jazdy.

- Mam ważniejszą wiadomość - powiedział Bob. - Kupił naszego kota.

- Naprawdę? Ten falsyfikat? - zapytał Jupiter z niedowierzaniem.

Bob pokazał dwadzieścia pięć dolarów.

- Kupił pięć kotów w czarno-czerwone pasy. Trzy z nich wyglądały tak, jak koty Andy'ego, a

nasz i jeszcze jeden były inne. O co mu może chodzić?

- Myślisz, że mógł cię rozpoznać? - zapytał Jupiter.

- To niemożliwe. Przecież nie widziałem go nigdy wcześniej.

- Chyba że to ten stary złodziej z wesołego miasteczka - zasugerował Jupiter. - Jeśli cię rozpoznał, to pewnie kupił fałszywe koty, żeby nas zmylić.

- Ma tylko trzy koty takie jak moje? - zapytał Andy.

- Tak, ale pewien chłopiec powiedział mi o innym dzieciaku, który wygrał twojego kota w wesołym miasteczku. To Billy Mota. Mieszka na placu Chelham 39.

- Dobra robota - pochwalił kolegę Jupiter. - Jeśli ten człowiek poszukuje kotów z wesołego miasteczka i te trzy, które dostał, nie wystarczą mu, to będzie musiał pójść po tego czwartego. My też odwiedzimy Billy'ego Motę, ale najpierw musimy zobaczyć, co nasz kupiec robi z kotami, które już ma. Jeśli znajdzie...

Andy przerwał Jupiterowi:

- Wydaje mi się, że ostatni z chłopców właśnie wychodzi! Zobaczyli samotnego malca niosącego niebiesko-białego wypchanego kota. W drzwiach budynku pojawił się wytatuowany mężczyzna, rozejrzał się po pustej ulicy i wrócił do środka. Do chłopców dotarł szczęk zamykanego zamka.

- Idziemy - szepnął Jupiter.

Pochmurny dzień zaczął powoli przekształcać się w wieczór. Podkradli się pod okna domu. Ostrożnie podnieśli głowy, żeby zajrzeć do pokoju gościnnego.

- Jest tam - szepnął Bob.

Śniady, wytatuowany mężczyzna siedział przy długim stole. Przed nim leżały trzy wypchane koty, identyczne jak ten, którego stracił Pete. Oglądał dokładnie każdego z osobna.

- To na pewno są moje koty - wyszeptał Andy.

- Spójrzcie tam, do kąta! - powiedział Jupiter.

Na podłodze, za stołem, leżały pozostałe koty, niepodobne do tamtych.

- Popatrzcie, odrzucił je na bok! Widocznie interesują go tylko te z wesołego miasteczka! - zauważył głośno Jupiter.

- Tssssss! - ostrzegł go Bob.

Jupiter podniósł głos, gdy zrozumiał, że wytatuowany człowiek rzeczywiście poszukuje tylko kotów ze strzelnicy. Mężczyzna siedzący w pokoju rzucił na podłogę ostatniego kota i wstał, trzymając w dłoni długi, złowieszczo błyszczący nóż.

Rozdział 11

W pułapce!

Przerażeni chłopcy zamarli w bezruchu. Patrzyli przez okno na wytatuowanego mężczyznę, stojącego nad stołem z długim nożem w dłoni.

Nagle zaczął ciąć na kawałki pierwszego wypchanego kota. Pokroił od razu drugiego i trzeciego. Przyjrzał się rozprutym zwierzakom i zaczął rozrzucać materiał, którym były wypchane. Nerwowo grzebał w pakułach i resztkach obicia.

Wreszcie upuścił nóż i oddychając ciężko, opadł na stojące za stołem krzesło. Zrozpaczonym i nienawistnym wzrokiem patrzył na pozostałości trzech kotów.

Bob szepnął:

- Nie znalazł tego, czego szukał!

- Masz rację - przyznał Jupiter - ale cokolwiek by to być miało, jedno jest pewne, jest to ukryte w jednym z tych kotów. Musi to więc być wewnątrz kota, którego ma Billy! Jeśli się pośpieszymy, może dotrzemy tam, zanim...

- Jupiter! - ostrzegł Andy. - Wychodzi!

Mężczyzna siedzący za stołem znów się poderwał. Z wściekłością rozejrzał się po pokoju. Chwycił leżący na krześle kapelusz.

- Szybko, chłopaki, schowajmy się w tych zaroślach - zawołał Jupiter:

Skoczyli w stronę gęstych krzaków hibiscusa i padli na ziemię, ukryci pod liśćmi. Drzwi się zamknęły i wytatuowany mężczyzna pobiegł dookoła domu. Nawet nie spojrzął w stronę chłopców, tylko skierował kroki w stronę alejki, leżącej za budynkiem. Zniknął za rogiem i po chwili usłyszeli skrzypnięcie drzwi samochodu. Zawarczał silnik i kupiec odjechał.

- Na pewno jedzie po ostatniego wypchanego kota! - zgadywał Bob.

- Może go dogonimy - powiedział Andy.

- Na rowerach? - powątpiewał Bob. - Plac Chelham jest ponad osiem kilometrów stąd.

Niedaleko wesołego miasteczka.

Zrozpaczeni chłopcy popatrzyli na siebie.

- Zdobędzie ostatniego wypchanego kota - lamentował Bob. - Nie możemy go powstrzymać.

- Masz rację - przyznał Jupiter.

Wstał spod krzaka hibiscusa i spojrzał chmurnie na niewielki budynek. Nagle oczy mu błysnęły.

- A może nam się uda! Chłopaki, spójrzcie na te druty! W tym domu jest telefon!

Nie czekając na odpowiedź, Pierwszy Detektyw podbiegł do drzwi. Były zamknięte.

- Okna! - zawołał Andy.

Chłopiec z wesołego miasteczka pchnął okno pokoju gościnnego. Było otwarte. Trzej chłopcy wgramolili się do środka.

- Szukajcie telefonu - ponaglał Jupiter. - Na pewno musi tu być, bo do domu prowadzą druty.

- Tutaj - wskazał Andy. - Stoi tu w rogu, na podłodze. Jupiter poderwał słuchawkę i podniósł ją do ucha. Skrzywił się.

- Nie działa.

- No i co teraz? - zapytał Bob.

- Nie wiem - odparł ponuro Jupiter. - Może gdybyśmy szybko tam pojechali, zdążylibyśmy, pod warunkiem, że... - zawiesił niepewnie głos - że kiedy przyjechał wytatuowany, nikogo nie było w tamtym domu.

- Wtedy mógł włamać się do środka - zauważył Bob.

- Przecież gdzieś w okolicy musi być budka telefoniczna - powiedział Andy.

Jupiter jęknął.

- Oczywiście, powinienem był...

Przysadzisty Pierwszy Detektyw nie dokończył zdania. Chłopcy usłyszeli czyjeś ciche i ostrożne kroki, zbliżające się do domu. Stali sparaliżowani ze strachu, słuchając złowieszczych odgłosów. Bob pochylił plecy i cichutko podkradł się do okna. Wyjrzał na zewnątrz, przykucnął i podbiegł do kolegów.

- To ten wytatuowany facet. Wrócił!

- Wiejemy przez okno - szepnął Andy ponaglająco.

- Nie zdążymy - powiedział Bob drżącym głosem.

- Schowamy się w drugim pokoju - błyskawicznie zdecydował Jupiter.

Chłopcy przesunęli się błyskawicznie do przyległego pokoju. Pierwszy dotarł Andy, za nim Bob, a na końcu Jupiter. Było to małe, puste pomieszczenie z oknem zasłoniętym okiennicami. Panował tu półmrok. Zamknęli drzwi i stali, powstrzymując oddechy.

Usłyszeli skrzypnięcie drzwi wejściowych.

Potem zapadła na dłuższą chwilę cisza.

Nagle, tuż za drzwiami małego pokoiku, zabrzmiał zgrzytliwy głos. Mężczyzna zaczął się śmiać niskim, obrzydliwym śmiechem.

- Ach tak, mali spryciarze? Zobaczymy, czy nie byliście zbyt cwani. To dla waszego dobra.

Chłopcy popatrzyli na siebie przerażeni. Stojący za drzwiami mężczyzna znowu się roześmiał.

- Myślicie, że nie widziałem was stojących pod oknem? Cóż, zabrakło wam sprytu. Mnie niełatwo oszukać. Spostrzegłem was. Dobrało się trzech wariatów. Nawet nie słyszeliście, że zaparkowałem samochód. Teraz będziecie mieli czas na przemyślenie swojej głupoty.

W zamku drzwi do pokoju, w którym siedzieli, szcęknął klucz. Usłyszeli łoskot metalu. Zapewne była to żelazna sztabka blokująca wejście.

- To powinno was tu zatrzymać - powiedział mężczyzna ochrypłym głosem. - Ale ostrzegam was, spryciarze. Kiedy stąd wyjdziecie, trzymajcie się ode mnie z daleka!

Tym razem już się nie śmiał. Chłopcy usłyszeli oddalające się kroki i trzask drzwi frontowych. Mały domek pograżył się w ciszy.

- Okno - powiedział nieustraszenie Jupiter.

Po omacku podszedł do okna, otworzył je i spróbował pchnąć okiennice.

- Jest zabite od zewnątrz - zawołał. - To musiał być magazyn, w którym zegarmistrz przechowywał swoje rzeczy.

- Uchyl okiennice i krzycz - zaproponował Bob.

Wszyscy trzej stanęli przy oknie i wołali o pomoc. Niebo było coraz ciemniejsze. Nikt nie nadchodził. Dom stał daleko od drogi. Inne budynki mieściły się dopiero przy następnej ulicy, do której prowadziła aleja, leżąca po przeciwnej stronie głównego wejścia. Po kilku minutach Andy usiadł na podłodze. W szarym świetle, wpadającym przez szpary w okiennicach, dostrzegł coś, czego

wcześniej nie zauważyli.

- Spójrzcie, tu jest jeszcze jedno wyjście!

Jupiter ruszył we wskazanym kierunku. Tylne drzwi były solidne i mocno zamknięte.

- Utknęliśmy tu na dobre, chłopaki. Teraz wytatuowany mężczyzna na pewno zdobędzie ostatniego wypchanego kota! - jęczał Andy. - Jesteśmy skończeni.

- Mamy Jeszcze jedną szansę - powiedział nagle Jupiter. - Zapomnieliście o moim nowym wynalazku. Pete dostrzeże czerwone światło, a sygnał kierunkowy zaprowadzi go do nas.

Przysadzisty Pierwszy Detektyw wyciągnął skonstruowane przez siebie małe urządzenie i przybliżył do niego usta.

- Pomocy! - powiedział. - Potrzebujemy pomocy.

Małe urządzenie zaczęło cichutko brzęczeć.

- Światło zapala się tylko na odbiorniku - wytłumaczył kolegom. Chłopcy w milczeniu spoglądali na burczący sygnalizator i zastanawiali się, czy Pete zauważy tę prośbę o pomoc.

Pete nadal siedział na rusztowaniu starej kolejki górskiej. Szczekał zębami z zimna, bo od strony gór wiał przenikliwy wiatr. Zrobiło się tak ciemno, że ledwie mógł dostrzec bramę prowadzącą do wesołego miasteczka.

Nikt z ludzi, którzy opuścili teren wesołego miasteczka, jeszcze nie wrócił, a przedstawienia powinny się zacząć za godzinę albo niewiele później. Gdzie się podziali wszyscy pracownicy? Co robią Jupiter, Bob J i Andy? Andy powinien wrócić na strzelnicę przed otwarciem miasteczka.

Dziwne, że Jupiter i Pete przez tyle czasu nie dali znaku życia, to do nich niepodobne.

Pete był zaniepokojony.

Czasami go denerwowało, że Jupiter miał zwyczaj trzymać swoje plany w sekrecie do ostatniej chwili. Uwielbiał zadziwiać kolegów. Zamiłowanie Pierwszego Detektywa do dramatyzowania wydarzeń już kilka razy wpędziło to chłopców w tarapaty. Pete nie cierpiał porzucać powierzonego mu zadania, ale w końcu zaczął się za bardzo denerwować.

Zszedł na dół po drewnianych rusztowaniach i pobiegł przez opuszczony park zabaw. Olbrzymie, uśmiechnięte usta Domu Śmiechu szczyrzyły do niego zęby, kiedy przechodził obok nich, zmierzając do dziury w płocie

Gondole diabelskiego młyna były jeszcze przykryte pokrowcami, ale z głośników karuzeli sączyła się już wesoła muzyka. Strzelnica Andy'ego Carsona świeciła pustkami. Pete przygryzł dolną wargę. Gdzie też się mogą podziewać? Podejrzewał, że Jupiter zaprowadził kolegów do miejsca, w którym skupowano wypchane koty. Gdzie to może być? Szósty zmysł podpowiadał Pete'owi, że coś

jest nie w porządku.

Gdyby chłopcy wrócili do wesołego miasteczka, na pewno by go odszukali. Prawdopodobnie chcieliby się od razu dowiedzieć, co zaobserwował. Jeśli opuściłby swoje stanowisko i poszedł ich szukać, mogliby się minąć i przyjaciele nie zastaliby go w wesołym miasteczku. Z drugiej strony, jeśli potrzebują pomocy...

Pete przypomniał sobie o nowym wynalazku Jupitera. Pogrzebał w kieszeni i wyciągnął z niej niewielkie urządzenie. Popatrzył na nie niecierpliwie. Aparacik milczał, nie paliło się też światełko, mające oznajmiać o kłopotach kolegów.

Rozdział 12

Człowiek-mucha

Andy siedział na podłodze w zamkniętej pakamerze małego domku. Spojrzał na Jupitera.

- Jaki zasięg ma ten sygnalizator? - zapytał.

- Około pięciu kilometrów - odparł Jupiter. Po chwili jęknął. - To jasne! Wesołe miasteczko znajduje się jakieś osiem kilometrów stąd. Aparat Pete'a nie odbierze naszego sygnału!

Chłopcy popatrzyli na siebie.

- Na pewno ktoś w końcu usłyszy nasze krzyki - powiedział Bob, starając się, żeby jego głos zabrzmiał optymistycznie.

- Oczywiście - przyznał chłodno Jupiter. - Ale tymczasem musimy sami spróbować się stąd wydostać. Eksperci twierdzą, że z każdego pomieszczenia można się w jakiś sposób wydostać. Każdy pokój ma jakieś usterki. Poszukajmy ich.

- Ale jak? - zapytał Andy. - Przecież wszystko już przeszukaliśmy.

- Mogło się zdarzyć, żeśmy coś przeoczyli - oznajmił Jupiter. - Bob, ty zbadasz wszystkie ściany, sprawdzisz, czy gdzieś nie ma dziur. Spróbuj się zorientować, któredyś biegną rury albo jakieś przewody. Ja zajmę się oknem, a Andy może jeszcze raz obejrzy drzwi i stojącą w rogu szafkę.

Andy'ego i Boba ogarnął pesymizm, ale Jupiter, który w dalszym ciągu nie poddawał się, zdołał ich przekonać. Z zapalem ruszyli do pracy. Po chwili Andy jeszcze raz stwierdził, że drzwi są zbyt solidne i nie da się przez nie wyjść. Bob nie znalazł w ścianach żadnego słabego punktu.

- Próbuście dalej, chłopaki - ponaglał ich Jupiter. - Ten pokój musi mieć jakiś słaby punkt.

Pierwszy Detektyw obmacywał zabite okiennice i od czasu do czasu wzywał kolegów na pomoc. Bob chodził na kolanach i kawałek po kawałku oglądał ściany tuż przy podłodze. Andy podszedł do szafki, stojącej w rogu pokoju.

- Jupe, Bob! Spójrzcie na to.

Młody pracownik wesołego miasteczka trzymał w ręku kawałek papieru zapisany na maszynie. Znalazł go w szafce.

- To pełny plan podróży wesołego miasteczka - objaśnił Andy. - Cała nasza trasa i rozkład postojów w Kalifornii.

- To znaczy, że wytatuowany mężczyzna pracuje w wesołym miasteczku! - oznajmił tryumfalnie Jupiter.

- Albo jedzie za nim krok w krok - dodał Bob.

- Andy - zapytał podniecony Jupiter - nie rozpoznajesz jego głosu? Nie widziałeś takiego tatuażu ani twarzy, ale może ten głos ci kogoś przypomina?

- Nie. Jestem pewien, że nigdy przedtem go nie słyszałem.

Jupiter zamyślił się.

- Może specjalnie zmienił głos. Miał taką okropną chrypę.

Po przestudiowaniu planu podróży wesołego miasteczka Bob zaczął myszkować w długiej, wąskiej szafce, wypełnionej starymi deskami i pudełkami. Wyciągnął z niej dziwny strój.

- Spójrzcie, chłopaki, to leżało na dnie szafki.

Bob trzymał dziwny, czarny kombinezon, uszyty z elastycznego materiału: czarne nakrycie głowy, przypominające kaptur, który dokładnie przykrywał głowę, zostawiając tylko odkryte miejsce na twarz, oraz parę czarnych płóciennych butów z osobliwymi gumowymi obcasami, wyglądającymi jak zakrzywione przyssawki.

Jupiter zmarszczył brwi.

- To wygląda jak jakiś kostium. Może to strój pracownika wesołego miasteczka? Nigdy nic takiego nie widziałem. A ty, Andy?

Andy ze zdziwieniem przyglądał się czarnemu kompletowi. Wziął go od Boba i uważnie obejrzał.

- Co to jest? - niecierpliwił się Jupiter.

Andy kręcił głową.

- Żaden z naszych ludzi nie nosi takiego stroju, ale... - chłopiec z wesołego miasteczka zawahał się i jeszcze raz potrząsnął głową. - Nie jestem pewien, ale myślę, że to wygląda jak kostium, który nosił Zdumiewający Gabbo.

- Kto? - zdziwił się Bob.

- Gabbo - odparł Andy. - Kiedy byłem mały, niedługo po śmierci mamy, zanim zostałem z babcią, tata przez pewien czas pracował w małym cyrku, nie opodal Chicago. W kilku przedstawieniach brał udział Zdumiewający Gabbo. Nie znaliśmy go zbyt dobrze, bo występował tam bardzo krótko. Zapamiętałem go tylko dlatego, że go przyłapano na kradzieży i podpalaniu cyrku. Mam wrażenie, że później wpadł w jeszcze większe tarapaty i trafił do więzienia.

- Więzienie? - zapytał Jupiter. - Więc może jest złodziejem! Nie był podobny do tego wytatuowanego mężczyzny?

- Nie wiem. Myślę, że może jest w podobnym wieku, ale zupełnie nie pamiętam, jak wyglądał. Tata też by go nie poznał. Chyba że ktoś zapytałby go wprost, czy to nie jest Gabbo. Mam wrażenie, że nigdy nie widzieliśmy go bez kostiumu.

- A to wygląda jak jego kostium?

Andy skinął głową potakująco.

- Tak, z pewnością. To są specjalne buty, używane podczas przedstawień przez ludzi-muchy. Wicie, mogą w nich wejść na prawie każdą ścianę.

Jupiter przełknął ślinę.

- Ludzie-muchy?

- Tak - potwierdził Andy. - To był popisowy numer Gabba. Występował...

Jupiter nie słuchał go dłużej.

- To ten stary człowiek, który próbował ukraść ubiegłej nocy twojego kota! Wydostał się ze ślepej uliczki. Jedyнным sposobem ucieczki było wspięcie się na ten wysoki parkan. Nikt nie byłby zdolny tam wleźć. Nikt, oprócz wyszkolonego człowieka-muchy!

- Gabbo mógł też bez trudu poradzić sobie z lwem! - dodał Andy.

- Ale przecież - powiedział Bob - Andy przed chwilą stwierdził, że nie zna tego wytatuowanego człowieka.

- To może być jego kolejne przebranie - zasugerował Jupiter. - Musimy się stąd wydostać! Jeśli zdobędzie piątego kota i ucieknie, to prawdopodobnie nigdy go już nie odnajdziemy! Krzyczymy, chłopaki!

Ponownie zaczęli wołać o pomoc, stojąc przy oknie. Niestety, ich głosy pozostawały bez odpowiedzi.

Pete pędził rowerem do składu złomu. Pół godziny temu zdecydował, że poszuka kolegów.

Kiedy dojechał na złomowisko, zapadał już zmierzch. Spotkał tam tylko Konrada rozładującego niewielką furgonetkę.

- Cześć, Konrad. Widziałeś może Boba albo Jupitera? - zawołał Pete do wielkiego Bawarczyka, pomocnika wuja Tytusa Jonesa.

- Dzisiaj widziałem ich tylko przez chwilę - odparł flegmatycznie Konrad. - Coś nie w porządku?

- Nie wiem. Właściwie...

Konrad podniósł potężną rękę.

- Chwileczkę, Pete. Co to za dziwny dźwięk? Rozlega się gdzieś niedaleko.

Wielki Bawarczyk rozejrzał się zdziwiony dookoła. Pete też usłyszał dziwny, stłumiony sygnał, jednostajne, niskie buuuuuuuuuuu. Chłopiec miał wrażenie, że dźwięk ten dochodzi z bliska, z jego kieszeni!

- Sygnalizator! - przypomniał sobie i wygrzebał z kieszeni małe urządzenie.

Spojrzał na czerwone światełko, palące się na sygnalizatorze.

- Konrad, oni są w niebezpieczeństwie! - zawołał Pete z przejęciem i wytłumaczył Bawarczykowi zasadę działania nowego wynalazku Jupitera.

- Jedziemy, Pete! - zagrział Konrad. - Znajdziemy ich.

Potężny mężczyzna wskoczył do kabiny furgonetki i wciągnął za sobą chłopca.

Gdy Konrad wyjechał ze złomowiska, Pete zaczął obserwować kierunkowskaz, zamontowany na sygnalizatorze Jupitera.

- W lewo - powiedział, gdy dojechali do pierwszego skrzyżowania. - Znowu w lewo i teraz prosto.

Konrad prowadził samochód zdecydowanie, a Pete obserwował kierunkowskaz.

Nie mogli już jechać prosto. Musieli kluczyć zygzakami, aby posuwać się w stronę, z której dobiegał sygnał. Na każdym skrzyżowaniu Pete mówił Konradowi, w którą stronę ma skręcać.

- W prawo! W lewo i jeszcze raz w lewo. Teraz w prawo! Po serii skrętów, układających się jak stopnie schodów, samochód wielkiego Bawarczyka znalazł się w pobliżu źródła sygnału.

- Dźwięk jest coraz mocniejszy! - zawołał Pete.

Skręcili w spokojną, mroczną i cichą uliczkę. Kierowca jechał coraz wolniej, a Pete rozglądał się na obie strony. Nie dostrzegł nic podejrzanego. Spojrzał na strzałkę kierunkowskazu.

- To gdzieś w prawo. Jesteśmy już bardzo blisko!

Konrad niespokojnie popatrzył wokół.

- Nic nie widzę.

- Chwileczkę - zawołał Pete. - To musi być gdzieś za nami. Teraz sygnał jest słabszy.

Konrad nacisnął hamulce tak gwałtownie, że zapiszczały. Włączył wsteczny bieg. Furgonetka zaczęła powoli jechać do tyłu wzdłuż spokojnej ulicy. Pete wskazał mały domek ozdobiony sztukaterią, stojący z dala od drogi.

- Myślę, że to tam...

Konrad błyskawicznie zatrzymał samochód i zdążył z niego wysiąść, zanim Pete dokończył zdanie.

- Chodź, Pete! Znajdziemy ich - ryknął wielki Bawarczyk i popędził ścieżką w stronę niewielkiego budynku.

Pete ruszył za nim i dobiegł do drzwi frontowych w chwili, gdy Konrad zaczął w nie łomotać.

- Są zamknięte! Nic nie słyszę. Jeśli...

Bawarczyk urwał w pół słowa. Pete patrzył na zamknięte wejście do ciemnego i cichego domu. Konrad cofnął się i zrobił taką minę, jakby zamierzał wyważyć drzwi. Pete powstrzymał go.

- Poczekaj. Wiem, jak sprawdzić, czy tu są - powiedział.

Pochylił się nad niewielkim urządzeniem i szepnął:

- Pomocy! Pomocy!

Nagle, jakby to było echo, usłyszeli głosy dochodzące z domu.

- Pomocy! Pete! Tutaj z tyłu!

Pete i Konrad pobiegli dookoła budynku. Wielkie łapska Konrada zaczęły mocno uderzać w drzwi i wkrótce zamek ustąpił. Po chwili Jupiter, Bob i Andy stali uradowani przed przyjaciółmi.

- Zobaczyliśmy czerwone światełko i pomyśleliśmy, że musicie być gdzieś niedaleko - wyrzucił z siebie Bob.

- O to mi właśnie chodziło - odparł Pete. - Sygnalizator działał...

Pete przerwał, gdy zauważył, że od strony ulicy nadchodzi, wściekle wymachując rękoma, stary, niski mężczyzna.

- Co robicie z moim domem! - wołał staruszek. - Zaskarżę was do sądu! Zniszczyliście moją posiadłość!

Jupiter zrobił krok w stronę zdenerwowanego starego człowieka.

- Przykro nam, proszę pana, że musieliśmy wyłamać te drzwi, ale pewien mężczyzna zamknął nas w środku. Krzyczeliśmy, ale nikt nas nie usłyszał. Wytatuowany człowiek o bardzo śniadej cerze uwięził nas w małym pokoiku. On ten dom od pana wynajmuje?

- Zamknął was? Wytatuowany mężczyzna? O czym wy mówicie? - zdziwił się staruszek. - Dzisiaj rano wynająłem dom uczciwemu człowiekowi. Starszemu kupcowi. Nie miał żadnego tatuażu. Któż mógłby was tu zamknąć? To śmieszne. Zgłoszę to na policję!

- To bardzo rozropne, proszę pana. Policja koniecznie powinna się o tym dowiedzieć - przyznał Jupiter. - Mam nadzieję, że zrobi pan to jak najszybciej.

Stary człowiek z zakłopotaniem kiwnął głową i odwrócił się, żeby odejść. Jupiter stał spokojnie jeszcze tylko przez moment. Po chwili ruszył biegiem do zaparkowanego samochodu.

- Pospieszcie się, może jeszcze zdołamy zdobyć ostatniego wypchanego kota! Konrad, zapakuj rowery do furgonetki i jedziemy na plac Chelham numer 39. Szybko!

Rozdział 13

Chybiony cel

Konrad wjechał furgonetką w zacienioną drzewami aleję, przy której stały wielkie, stare domy. Gdyby pojechali przecnicę dalej, znaleźliby się nad brzegiem oceanu. Nie dostrzegli nigdzie śladu niebieskiego samochodu.

- Wiedziałem, że nie mamy szansy go dogonić - powiedział Bob przygnębionym głosem.

- Byliście zbyt długo zamknięci - przyznał Pete.

- Może coś go zatrzymało - nie tracił nadziei Jupiter. - Numer 39 to chyba tamten dom na końcu

ulicy. Zrobiło się tymczasem prawie zupełnie ciemno.

Był to trzypiętrowy, biały budynek, otoczony wysokimi drzewami i klombami kwiatów. Tak jak powiedział Jupiter, zapadał już zmrok. Na podjeździe do garażu stał zaparkowany samochód, lecz nie był to mały, niebieski pojazd wytatuowanego mężczyzny. Gdy Konrad podjechał bliżej, w domu zapaliły się światła.

- Najwyraźniej ktoś właśnie wrócił - snuł domysły Jupiter.

Konrad zwolnił, żeby zaparkować furgonetkę naprzeciwko trzypiętrowego budynku. Wieczorną ciszę rozdarł nagle kobiecy krzyk:

- Złodziej! Łapać go! Policja!

Konrad nacisnął gwałtownie hamulce i w biegu wyskoczył z samochodu.

- To na pewno wytatuowany mężczyzna! - zawołał Pete.

- Prędeż, chłopaki! - pokrzykiwał Jupiter.

Chłopcy wypadli z furgonetki, lecz Konrad był od nich szybszy. Dał znak ręką, żeby zaczekali.

- Już ja się nim zajmę! Biegnijcie za mną!

Ruszyli biegiem w stronę domu, z którego w dalszym ciągu dochodził krzyk kobiety. Pete niespodziewanie przystanął i wskazał w kierunku wielkich drzew, rosnących tuż obok domu.

- Spójrzcie! - zawołał.

Dostrzegli niewyraźną sylwetkę, ześlizgującą się po pogrążonej w mroku ścianie budynku. Obserwowali, jak schodzi, przytrzymując się niewidocznych uchwytów i zeskakuje na ziemię, prosto w plamę światła, padającą z okna pokoju na parterze. Był to śniady mężczyzna, dzierżący w ręku spore, czerwono-czame zawiniątko.

- To on! - zawołał Bob. - Ukradł wypchanego kota.

- Stój, złodzieju! - wrzasnął wściekle Andy.

Mężczyzna odwrócił głowę. Dostrzegł chłopców i Konrada. Błyskawicznie śmignął za dom. Zniknął pośród kępy drzew. Konrad ryknął jak rozjuszony byk i popędził za nim.

- Dostanę go, chłopaki! - krzyknął przez ramię.

Ale wytatuowany mężczyzna był szybszy niż Konrad i chłopcy. Gdy pogoń dotarła do drzew, zniknął w następnej uliczce. Do rozwidlenia ulic pierwszy przybiegł Pete. Stał i bezradnie spojrzał na dobiegających kolegów. Ze złością patrzyli na oddalający się mały, niebieski samochód.

- Byliśmy już tak blisko i znowu go nie złapaliśmy - jęknął Pete,

- Zabrał mojego ostatniego wypchanego kota - rozpacział Andy.

- Na szczęście mamy jego prawo jazdy - pocieszał kolegów Bob. - Może policja go odnajdzie.

- To zajmie zbyt dużo czasu - powiedział strapiony Jupiter. - Ale może w pośpiechu zostawił w tym domu jakieś ślady, które mogłyby nam pomóc. Chodźcie, pospieszmy się!

Na schodach domu, do którego po chwili dotarli, zobaczyli piękną kobietę, za której plecami chował się przestraszony chłopczyk. Wyglądała na bardzo zdenerwowaną. Podejrzliwie popatrzyła na chłopców i Konrada.

- Znacie tego okropnego człowieka? - zapytała.

- Tak, proszę pani - oświadczył Jupiter. - To znany złodziej, którego próbujemy schwytać. Śledziliśmy go aż do pani domu, ale przybyliśmy za późno.

Kobieta spojrzała na nich zdumiona.

- Próbujecie złapać groźnego przestępcę? Jak to? Wy, takie chłopaczki?

Jupiter zmarszczył brwi. Miał już dosyć tego, że za każdym razem dorośli traktowali ich lekceważąco, bo byli "tylko chłopaczkami".

- Tak, rzeczywiście jesteśmy młodzi - powiedział oziębłe. - Ale zaręczam pani, że zdobyliśmy doświadczenie w rozwiązywaniu kryminalnych łamigłówek. Zapewne mamy przyjemność z panią Mota?

- Tak - odparta zdumiona kobieta. - Skąd znacie moje nazwisko?

- Wiedzieliśmy, że ten człowiek tutaj przyjdzie - wytłumaczył Jupiter. - Niestety, celowo opóźnił pościg. Nie spodziewaliśmy się, że go tu jeszcze zastaniemy, ale, jak przypuszczam, pani właśnie przed chwilą wróciła do domu?

- Tak - pani Mota skinęła głową. - Billy i ja wróciliśmy kilka minut temu. Billy poszedł prosto do swojego pokoju i po chwili usłyszałam wołanie o pomoc.

Mały, niespełna dziesięcioletni chłopiec gorliwie potwierdził słowa mamy:

- Stał na schodach prowadzących na trzecie piętro! Kiedy mnie zobaczył, zeskoczył z nich i wyrwał mi mojego kota.

- A więc miałeś kota ze sobą - przez głowę Jupitera przemknął błysk zrozumienia. - To dlatego złodziej jeszcze tutaj siedział. Nie mógł znaleźć zwierzaka w domu, zatem musiał poczekać.

- Jak już złapał kota - kontynuowała pani Mota - ruszył na dół po schodach. Zobaczył mnie i

wbiegł z powrotem na trzecie piętro. Zaczęłam wołać o pomoc.

Pete dokończył:

- Wyszedł przez okno pokoju i zszedł na dół po ścianie.

- Jak człowiek-mucha - dorzucił Bob.

- Billy - zwrócił się do chłopca Jupiter - znalazłeś na tym kocie albo wewnątrz niego coś szczególnego?

- Nie - odparł Billy Mota. - Ale niczego nie szukałem.

Chłopcy spojrzeli na siebie ponuro. Ostatni wypchany kot wpadł w ręce wytatuowanego mężczyzny. Przyjaciele stali w mroku, zastanawiając się, co powinni teraz zrobić.

- Ma to, czego pragnął - mruknął Bob. - Już nigdy go nie odnajdziemy.

- Możemy zdobyć dane złodzieja na podstawie prawa jazdy - powiedział Pete z nadzieją w głosie.

- To za długo by trwało - zauważył Jupiter. - Musielibyśmy wysłać je do Sacramento. Może powinniśmy...

Konrad, stojący dotychczas w milczeniu, przerwał Jupiterowi:

- Teraz zawiadomimy policję.

Pierwszy Detektyw zaprotestował:

- Ależ, Konrad, przez ten czas...

Konrad potrząsnął głową.

- Zaraz zadzwonisz na policję. Twój wuj, Tytus, kazałby ci zrobić to samo. Tę panią okradzono, włamano się do jej domu. Przestępca jest, jak sądzę, niebezpieczny. Straciliśmy go z oczu. Przyszedł czas, żeby zajęła się nim policja.

- Sami go teraz nie złapiemy - popart Konrada Bob.

- Zadzwonimy do komendanta Reynoldsa - zaproponował Pete.

Jupiter przygarbił plecy i pokiwał głową.

- Chyba macie rację. Proszę pani, czy możemy skorzystać z telefonu?

- Oczywiście - odparta piękna kobieta.

Weszli do domu i Jupiter zadzwonił do komendanta Reynoldsa. Nie rozmawiał zbyt długo. Szef policji wysłuchał uważnie wszystkiego, co mu opowiedział chłopiec. Jupiter skończył rozmowę i miał zamiar odejść od telefonu.

- Przyjedzie tu zaraz i... - Jupiter spojrzał na trzymaną w rękę słuchawkę. - Andy! Zadzwon do wesołego miasteczka i poproś ojca, żeby sprawdził, czy nie brakuje nikogo z pracowników!

- Po co? - Andy zmarszczył brwi. - Przecież powiedziałem ci, że nigdy wcześniej nie widziałem tego człowieka.

- Ustaliliśmy już, że to było jego kolejne przebranie - wytłumaczył Jupiter. - Na twarzy może mieć maskę, która sprawia, że wygląda, jakby miał śniadą cerę. Tatuaż pewnie skrywał pod ubraniem. Dowiedz się, czy wszyscy pracownicy są w wesołym miasteczku.

- Mogę zadzwonić - zgodził się Andy niechętnie. - Ale tuż przed otwarciem wesołego miasteczka mój tata jest zawsze strasznie zajęty. Poza tym bardzo trudno wtedy sprawdzić, kto jest w pracy, a kogo nie ma.

- Spróbuj, Andy - nalegał Bob.

Andy podszedł do telefonu i wybrał numer. Przez chwilę słuchał sygnału.

- Nie ma go w biurze - powiedział. - Zadzwonię jeszcze na centralę i dowiem się, czy mogą znaleźć tatę.

Andy w dalszym ciągu stał przy telefonie, kiedy usłyszeli zgrzyt kół samochodu policyjnego. Na twarzy Konrada pojawił się wyraz ulgi. Do domu wszedł komendant Reynolds z kilkoma podwładnymi. Chłopcy opowiedzieli policjantowi całą historię.

- Dobra robota, chłopaki - pochwalił ich komendant policji. - Rysopis złodzieja i prawo jazdy powinny nam pomóc odnaleźć tego człowieka. Nie domyślcie się, dokąd mógł pojechać z tymi wszystkimi wypchanymi kotami?

- Nie, proszę pana - przyznał Bob.

- To, czego złodziej szuka, musi mieć niezwykle wysoką wartość. W przeciwnym razie nie zadawałby sobie tyle trudu - dodał Pete. - Jupe myśli, że to może być coś z przemytu.

Komendant Reynolds pokiwał głową.

- Niezła myśl. Powiem moim ludziom, żeby skierowali uwagę na ewentualne wartościowe przedmioty, które mogą być wewnątrz kota. Poproszę ich, żeby zadzwonili do wszystkich posterunków straży granicznej. Może mają tam jakieś informacje o poszukiwanym przemytniku.

Komendant wyszedł do czekających na niego policjantów. Andy Carson w dalszym ciągu próbował dodzwonić się do taty. Jupiter, bardzo niezadowolony, że musieli zawiadomić Reynoldsa, zanim zdołali się dowiedzieć, dlaczego wypchane koty są takie wartościowe, obserwował w

napięciu Andy'ego.

- Złodziej mógł już dotrzeć do wesołego miasteczka - powiedział przygnębiony. - Chyba że tym razem w ogóle nie miał zamiaru wracać - dodał z nadzieją w głosie. - Próbuj dalej.

Andy skinął głową i ponownie zakręcił tarczą telefonu. Do pokoju wrócił komendant Reynolds. Podszedł do chłopców. Minę miał bardzo poważną.

- Dostałem właśnie wiadomość, że wytatuowany mężczyzna, odpowiadający podanemu przez was rysopisowi, jest podejrzany o dokonanie przed tygodniem napadu na bank. Działał sam. Uciekł ze stoma tysiącami dolarów!

- Komendancie, czy to zdarzyło się w San Mateo? - zapytał błyskawicznie Jupiter.

- Słucham? - komendant policji popatrzył zdziwiony na Jupitera.

- A skąd o tym wiesz?

- Pożar w wesołym miasteczku wybuchł w San Mateo. Jestem przekonany, że złodziej jest pracownikiem wesołego miasteczka. Po napadzie wzniecił ogień albo niechcący, albo zrobił to celowo, żeby ułatwić sobie ucieczkę!

- Nie możesz mieć pewności, że tak właśnie było.

- Ale byłby to zbyt duży zbieg okoliczności, nie sądzi pan, komendancie? - upierał się Jupiter. - Gdyby poszedł pan do wesołego miasteczka...

- Dodzwoniłem się do taty! - zawołał Andy.

Umilkli, żeby nie przeszkadzać chłopcu w rozmowie. Czekali z niecierpliwością, aż Andy dowie się, czy wszyscy pracownicy wesołego miasteczka są na swoich stanowiskach. Komendant Reynolds ponownie wyszedł z pokoju, zawołany przez jednego z policjantów. Po chwili usłyszeli, jak Andy mówi:

- Tak, tato. Bardzo przepraszam. Czy brakuje któregoś z pracowników? Nie? To dobrze. Tak, tato. Już jadę.

Andy odłożył słuchawkę.

- Wszyscy są teraz przy pracy. Wszyscy, oprócz mnie. Zaczęły się już występy. Muszę tam natychmiast wracać. Nawet nie zdążę zjeść kolacji.

Bob i Pete podskoczyli, jakby ktoś do nich strzelał. Byli przerażeni.

- O rany! - jęknął Pete. - Nie wróciliśmy do domu na kolację.

- Nieźle oberwiemy od rodziców - dodał Bob.

Także Pierwszy Detektyw trochę pobladł. Konrad cmoknął na myśl o tym, co powie Jupiterowi ciotka Matylda. Chłopcy wiedzieli, że nic bardziej nie denerwuje ich rodziców i opiekunów niż spóźnienie się na kolację. Nieważne było, w jak ciężkie tarapaty wpędziła ich praca detektywów i co mieli na swoje usprawiedliwienie. Jupiter nie chciał jednak wracać od razu do domu. Pragnął dowiedzieć się od Reynoldsa czegoś więcej. Chłopcy czekali niecierpliwie, aż policjant wróci z nowinami.

- Nie musimy jechać do wesołego miasteczka - powiedział komendant. - Moi ludzie właśnie przed chwilą znaleźli samochód złodzieja. Był zaparkowany przy drodze, cztery przecznice stąd. Wewnątrz leżał wypchany kot. Rozpruty, w środku nic nie było. Ślady opon na trawie wskazują, że po złodzieja przyjechał jakiś inny samochód, albo że sam odjechał przygotowanym uprzednio pojazdem. Będziemy teraz musieli postawić na nogi policję całego stanu. Myślę, że złodziej zdobył to, czego szukał, i od razu wyjechał z Rocky Beach. Powinniście wracać do domów. Na pewno znajdziemy tego człowieka, tylko zajmie nam to trochę czasu.

Przygnębieni chłopcy pokiwali głowami na znak zgody. Pobiegli za Konradem do furgonetki. Bardziej martwiło ich, że się spóźnią do domów, niż że zgubili trop złodzieja.

Bob, Pete i Andy obawiali się czekającej ich reprimendy. Natomiast Jupiter myślał o czymś innym, bardziej interesującym. Jego oczy błyszczały z przejęcia, ale nikt tego nie zauważył.

Rozdział 14

Jupiter wyciąga wnioski

Przez cały następny dzień Bob i Pete wypełniali różne domowe obowiązki. Musieli odpokutować za to, że poprzedniego wieczoru nie dotarli do domów na kolację. Trzeba przyznać, że sami wybrali sobie taką karę, więc pracowali nie uskarżając się na swój los. Obaj rozmyślali nad ostatnimi niepowodzeniami. Byli ciekawi, czy wytatuowany mężczyzna został złapany. Każdy z nich kilkakrotnie próbował dodzwonić się do Jupitera, ale Pierwszego Detektywa nie było ani w Kwaterze Głównej, ani w domu.

Wieczorem Bob błyskawicznie zjadł kolację. Tata uśmiechnął się do niego.

- Komendant Reynolds zawiadomił mnie, że wczoraj ty i twoi przyjaciele o mało co nie złapaliście sprawcy napadu na bank - powiedział.

- Nie wiedzieliśmy, że to jest groźny przestępca - tłumaczył Bob. - Po prostu pomagaliśmy chłopcu z wesołego miasteczka w jego kłopotach.

- To bardzo dobrze, że pomagacie ludziom. Mam nadzieję, że jesteście ostrożni. Komendant Reynolds twierdził, że nie robiliście nic szalonego ani niebezpiecznego. Mimo wszystko niepokoję

się o was. Bądź czujny i najpierw rusz głową, zanim coś zrobisz.

- Jupiter mówi, że dobre przygotowanie sprawy to połowa sukcesu.

- Jak zwykle, Jupiter ma rację - przyznał oschle pan Andrews. - To niedobrze, że ten człowiek uciekł. Komendant Reynolds rozesłał jego rysopis do wszystkich posterunków policji w całym stanie, ale jeszcze go nie złapali.

Nowiny nie pocieszyły Boba. Po kolacji pojechał do składu złomu. Po drodze doszedł do wniosku, że "tajemnica wypchanego kota" będzie pierwszą nie rozwiązana sprawą w karierze Trzech Detektywów. Dotarł do Kwatery Głównej, rozmyślając o porażce. W kwaterze był już Jupiter. Pochylał się nad plikiem gazet i bacznie studiował nabazgrołone na ich marginesach notatki.

- Co robisz? - zapytał Bob.

Pierwszy Detektyw potrząsnął głową na znak, że nie chce teraz rozmawiać. Bob poczuł się urażony i zaczął oglądać rozmaite morskie dziwy, które chłopcy zebrali, nurkując w oceanie. Potem podszedł do Wszystkowidzącego i przez chwilę obserwował złomowisko pogrążone w świetle zachodzącego słońca.

- Wygląda na to, że wuj Tytus przywiózł kolejną ciężarówkę nikomu niepotrzebnych rupieci - oznajmił.

Jupiter chrząknął. Odłożył na bok tekturę i siedział z zamkniętymi oczami, pogrążony w myślach. Bob ponownie spojrzał przez Wszystkowidzącego.

- Idzie Pete!

Tym razem Jupiter w ogóle nie zareagował. Po chwili przez właz wśliznął się Pete i popatrzył na milczącego Jupitera.

- Co on robi? - zapytał.

- A bo ja wiem? - odparł Bob. - Wielki Mózg pracuje.

- Po co mu te gazety? Myślisz, że zamierza odnaleźć wytatuowanego mężczyznę, zamieszczając ogłoszenie?

Jupiter popatrzył na przyjaciół błyszczącymi oczami.

- To nie będzie konieczne. Myślę, że wiem, gdzie możemy znaleźć wytatuowanego mężczyznę.

- Naprawdę? - zawołał Bob. - Gdzie?

- Tam, gdzie był cały czas. W Rocky Beach, w wesołym miasteczku.

Pete jęknął.

- O rany, komendant Reynolds miał rację mówiąc, że nie mamy na to dowodów. Przecież złodziej pojawił się w sześciu różnych miejscach, tylko nie tam.

- W siedmiu miejscach, jeśli chodzi o ścisłość - odparł Jupiter.

- To dowodzi, że go nie ma w Rocky Beach - podsumował Bob.

- Wręcz przeciwnie - oświadczył Jupiter. - Przeczytałem wszystkie relacje o nim, zamieszczone w gazetach. Siedmiu ludzi widziało go w siedmiu różnych miejscowościach, odległych od siebie o czterysta kilometrów. Zaryzykowałbym stwierdzenie, że tak naprawdę nikt go nie widział.

Bob pokiwał głową.

- Rozumiem. Ale w takim razie, dlaczego twierdzisz, że przebywa on nadal w Rocky Beach i w dodatku w wesołym miasteczku?

Jupiter poderwał się i zaczął przemierzać wąski pokój.

- Przeczytałem wszystko, co zdołałem znaleźć o napadzie na bank. Były trzy artykuły: dwa w gazecie wychodzącej w San Mateo i jeden z Los Angeles. Pojechałem dzisiaj do San Mateo, kiedy wy odrabialiście wczorajsze przewinienia.

- A ty nie musiałeś pracować? - zapytał wzburzony Pete. - Przecież ty też nie zdążyłeś na kolację.

- Musiałem pomóc w domu - uśmiechnął się Jupiter. - Ale tak się złożyło, że słyszałem o bardzo interesujących rupieciach, które można kupić w San Mateo. Kiedy powiedziałem o nich wujkowi Tytusowi, wysłał mnie po nie z Konradem i Hansem.

- Niektórzy mają szczęście - westchnął Pete. - Mnie nigdy nie udało się wymigać od prac domowych.

- Czego dowiedziałeś się o napadzie? - zapytał Bob.

- No cóż - zaczął Jupiter z podnieceniem w głosie - działo się to w piątek wieczorem, właśnie wtedy, kiedy wybuchł pożar w wesołym miasteczku. W piątki bank w San Mateo otwarty jest do szóstej po południu. Przed weekendem zawsze jest tam dużo pieniędzy. Tego dnia wesołe miasteczko zaczyna działać wcześniej niż zwykle. W dodatku w ten piątek kończyło swój pobyt w San Mateo. Musieli stamtąd wyjechać późną nocą, żeby dojechać do Rocky Beach i w sobotę zacząć przedstawienia u nas.

- O rany! - powiedział Pete. - Świetna okazja dla pracownika wesołego miasteczka. Mógł okraść bank i od razu wyjechać z San Mateo.

- Masz rację - przyznał Jupiter. - Człowiek, który dokonał napadu na bank, był ubrany na czarno, na głowie miał czarny obcisły kaptur, a na nogach czarne tenisówki.

- Kostium Gabba! - zawołał Bob.

Jupiter kiwnął twierdząco głową.

- Tylko ręce złodzieja były odkryte. Wszyscy świadkowie to zauważyli. Miał podwinięte rękawy.

- Chciał, żeby każdy dostrzegł tatuaż - snuł domysły Bob.

- Otóż to - odparł Jupiter. - Złodziej wszedł do banku za pięć szóstą. Obezwładnił strażnika i zszedł do piwnic, gdzie były przechowywane pieniądze. Dopóki nie wy dostał się z łupem na zewnątrz, cały czas strażnik był jego zakładnikiem. Potem go ogłuszył i uciekł w aleję ciągnącą się za bankiem. Alarm włączono w chwili, kiedy opuścił bank. Policja przyjechała natychmiast.

- Ale zdołał uciec? - zapytał niecierpliwie Pete.

- Oczywiście. Uciekł, ale nikt nie wie, w jaki sposób to zrobił - relacjonował Jupiter. - Policjanci ruszyli w pościg tuż po napadzie. Nie znaleźli złodzieja, mimo że wbiegł w ślepią uliczkę! Nie było z niej żadnego wyjścia. Otaczały ją wysokie ściany budynków, w których wszystkie okna były zamknięte. A jednak przestępca wy dostał się stamtąd.

- Tak jak wtedy, gdy goniliśmy węża! - zauważył Bob.

- Wspiął się na ścianę - dodał Pete. - To człowiek-mucha.

- Tak przypuszczam - potwierdził Jupiter. - Policja z San Mateo postawiła całe miasto w stan pogotowia i poszukiwała złodzieja. Nie mogli znaleźć żadnych śladów, ale w końcu dopisało im szczęście. Policjant, patrolujący okolice wesołego miasteczka, interweniował podczas bójki, która wybuchła pomiędzy ludźmi oczekującymi na występy. W ogólnym zamieszaniu ktoś potrącił i przewrócił mężczyznę ubranego w płaszcz przeciwdeszczowy. Płaszcz zsunął mu się z ramion i policjant, poinformowany o napadzie na bank, dostrzegł obcisły czarny kostium i tatuaż na ręku mężczyzny.

- Ale mieli szczęście! - powiedział Pete.

- Tak - kontynuował Pierwszy Detektyw - wiele zagadek kryminalnych zostaje rozwiązanych dzięki takim zbiegom okoliczności. Niestety, tym razem złodziej zdołał wmieszać się w tłum i uciec. Policjant wezwał pomoc. Przyjechał cały oddział policji, otoczyli wesołe miasteczko i zaczęli je przeszukiwać. Byli pewni, że znajdą przestępcę, lecz...

- Wiem - przerwał mu Bob - wybuchł pożar.

- No właśnie - oświadczył tryumfalnie Jupiter. - Było to bardzo niebezpieczne i policjanci musieli pomóc gasić ogień. Kiedy poradzili sobie z pożarem, ponownie wszczęli poszukiwania, ale nie znaleźli ani złodzieja, ani pieniędzy. Mimo to jestem przeświadczony, że wytatuowany mężczyzna był nadal w wesołym miasteczku!

- Dlaczego? - zapytał Bob.

- Złodziej uciekł. Nic mu nie groziło. Musiał tylko wydostać się niepostrzeżenie z San Mateo. Wyjście z kryjówki w wesołym miasteczku byłoby dla niego bardzo ryzykowne, chyba że był jego pracownikiem. Zaplanował to wszystko tak, aby wyjechać z San Mateo razem z wesołym miasteczkiem. Jestem przekonany, że plan złodzieja wyglądał następująco: okradnie bank, ucieknie, wdrapując się na ścianę w ślepej uliczce, wróci do wesołego miasteczka i zdejmie przebranie.

- Niestety, został dostrzeżony - ciągnął dalej Bob - i nie zdążył pozbyć się przebrania. Żeby zyskać na czasie i odwrócić od siebie uwagę, wzniecił pożar. Rajaha wypuścił w tym samym celu.

- Myślisz, że za każdym razem, kiedy go widzieliśmy, był w jakimś przebraniu? - zapytał Pete.

- Tak, jestem tego pewien - odparł Jupiter pompatycznie. - W banku i w domu, gdzie skupował koty, miał pomalowaną na ciemno twarz, albo założył plastikową maskę. Przefarbował włosy i prawdopodobnie zmienił kształt nosa oraz przykleił sobie sztuczny tatuaż!

Bob i Pete milczeli przez chwilę. Pete zauważył:

- Tatuaż to coś, co każdy zapamięta.

- Ludzie nie zwracają uwagi na inne szczegóły, tylko na tatuaż. My też niewiele pamiętaliśmy oprócz rysunku na jego ręce - dodał Bob.

- Chciał być pewien, że każdy dostrzeże ten szczególny znak, byłby więc szaleńcem, gdyby pokazywał naprawdę wytatuowaną rękę - podkreślił Jupiter. - Myślę, że to jest jakiś niepozorny młody człowiek o jasnej cerze i bez żadnego tatuażu! Jestem przekonany, że to Zdumiewający Gabbo. Tylko doświadczony artysta z wesołego miasteczka mógłby zmylić pana Carsona.

- Ale w żadnym przedstawieniu nie występuje człowiek-mucha - przypomniał Pete.

- No pewnie, przecież nie musiał i nie chciał zdradzić swoich umiejętności. I tak większość pracowników wesołego miasteczka potrafi wykonywać rozmaite sztuczki.

- Andy powiedział, że jego ojciec nie znał zbyt dobrze Gabba - zauważył Bob.

- No właśnie - zgodził się Jupiter - pan Carson rozpoznałby Gabba, tylko gdyby ktoś mu zasugerował, że to może być ten człowiek. Poza tym Gabbo był w więzieniu i od tamtej pory minęło kilka lat. Ponieważ człowiek-mucha był skryty i rzadko zdejmował swój kostium, pan Carson nie poznałby go ubranego w inny strój. Każdy pracownik wesołego miasteczka ma swoją przyczepę lub samochód kempingowy. Jeśli Gabbo się tam przebierał, to nikt nie mógł zobaczyć go w innym ubraniu.

- A wypchane koty? - zapytał Pete. - Do czego mu były potrzebne? Myślisz, że ukrywał w nich pieniądze?

- Nie - odparł Jupiter. - To niemożliwe. Przypuszczam, że w jednym z kotów znajduje się

wskazówka, gdzie schował sto tysięcy dolarów. Albo coś, co mu jest potrzebne, żeby odzyskać swój łup. Mała mapa, klucz, jakiś znak rozpoznawczy lub kwit z przechowalni bagażu!

- Ukrył to w wypchanym kocie podczas pożaru, na wypadek, gdyby ktoś go przeszukiwał! - podsumował Bob.

- Rzeczywiście! - zawołał Pete. - To wszystko wyjaśnia.

- No tak - zastanawiał się Bob - ale jeśli zdobył to, czego potrzebował, to dlaczego nie miałby od razu pojechać po pieniądze? Mógł przecież wyjechać z naszego miasta, tak jak uważa komendant.

- Nie. Myślę, że został w wesołym miasteczku - zdecydowanie oświadczył Jupiter. - Nic mu tam nie grozi, bo nikt nie wie, jak naprawdę wygląda ani że tam pracuje. Nie podejrzewa, że ktoś może się domyślać, gdzie się ukrywa. Wie natomiast, że szuka go policja. Jeśli teraz opuściłby wesołe miasteczko, ściągnąłby na siebie uwagę. Dlatego musi jeszcze trochę poczekać. Przynajmniej do końca pobytu wesołego miasteczka w Rocky Beach i jego okolicy.

- Jeśli masz rację - powiedział Pete - to Gabbo nie powinien wyrządzić więcej szkód w wesołym miasteczku. Nie ma powodu, żeby je niszczyć.

- Tak - przyznał Jupiter - możemy z całą pewnością powiedzieć, że nie zdarzy się już żaden nieszczęśliwy wypadek. Za chwilę wesołe miasteczko będzie otwarte. Najwyższy czas złapać złodzieja! Weźmy na wszelki wypadek nasze sygnalizatory. Chodźcie, chłopaki.

Wypętlili przez Tunel Drugi i pojechali rowerami do wesołego miasteczka. Zapadał zmrok. Od strony gór wiał silny wiatr. Zostawili rowery przed bramą i przyłączyli się do tłumu gości ciągnących do wejścia. Nagle gdzieś z przodu usłyszeli krzyki.

Otoczający ich ludzie ruszyli biegiem do wesołego miasteczka.

- Coś się tam stało! - zawołał Pete.

- To wygląda na jakiś wypadek - wykrzyknął Bob.

Jupiter zmrużył oczy.

- To nie może być wypadek! Jestem tego pewien!

Rozdział 15

Kolejny atak

Przecisnęli się pomiędzy gapiami i dostrzegli zniszczoną karuzelę, zwieszającą się tuż nad

ziemią. Pan Carson wydawał rozkazy brygadzie robotników.

Chłopcy odnaleźli Andy'ego, przyglądającego się z rozpaczą zniszczonej karuzeli.

- Co się stało? - zapytał Pete.

- Nie wiemy - odparł wzburzonym głosem chłopiec z wesołego miasteczka. - Kręciła się, gotowa do zabrania pierwszych pasażerów. Nagle silnik zaczął dymić, ramiona pochyliły się i opadły! Złamały się trzy konie, widzicie?

Robotnicy pracowali gorączkowo, próbując za pomocą lewarów podnieść karuzelę. Kilku z nich naprawiało połamane drewniane konie. Pan Carson reperował dymiący silnik. Wyprostował na chwilę plecy, aby otrzeć spocone czoło. Otoczyła go grupa wściekłych pracowników wesołego miasteczka.

- Ile wypadków się tu jeszcze zdarzy, Carson? - zapytał Khan.

- Twój sprzęt ledwie się trzyma - dodał Wielki Iwan. - Czujemy się zagrożeni.

- Dobrze wiecie, że wszystkie urządzenia są w porządku - odparł pan Carson.

- Karuzele nie zawalają się tak łatwo - powiedział wysoki, smutny klaun. - To na pewno jest jakiś znak! Trzeba zakończyć te niefortunne występy!

- To wesołe miasteczko jest pechowe! - potwierdził połykacz ognia. - Może ucieczka Rajaha była trzecim wypadkiem, a teraz zaczyna się druga tura!

Wszyscy artyści mruczeili z niezadowolenia i kiwali głowami.

- Musimy zamknąć ten interes, panie Carson - oświadczył linoskoczek.

- Po dzisiejszym przedstawieniu - zażądał wysoki klaun. - Natychmiast.

- Jak sobie poradzisz? - zapytał Khan. - Skąd weźmiesz pieniądze, żeby nam zapłacić, skoro karuzela nie działa i...

Pan Carson stał i bezradnie słuchał zarzutów. Robotnik, który pracował wraz z nim przy silniku, podniósł głowę i powiedział coś dyrektorowi wesołego miasteczka. Pan Carson wyglądał na zaniepokojonego, ale zwrócił się do pracowników z niespodziewanym uśmiechem.

- Za pół godziny karuzela będzie działać. Zaraz ją naprawimy - oznajmił. - To nic poważnego, tylko spaliła się podpora. Teraz proszę wracać do pracy!

- Będzie coraz gorzej. Jestem tego pewien - powiedział wysoki, smutny klaun.

Jednak na twarze większości wykonawców powróciły uśmiechy. Odetchnęli z ulgą i rozeszli się do swoich namiotów i straganów. Został tylko Khan.

- To wesołe miasteczko jest niebezpieczne - mruknął ostrzegawczo. - Zbyt wiele tu pomyłek i nieszczęśliwych wypadków. Powinieneś poszukać innej pracy.

Khan odszedł. Pan Carson przez chwilę patrzył na oddalającą się sylwetkę. Potem spojrzał na chłopców oczami pełnymi troski. Jego przyszłość i przyszłość Andy'ego zależały od tego wesołego miasteczka.

- Myślisz, że wrócą do pracy, tato? - zapytał Andy.

- Tak. Pracownicy wesołego miasteczka to ludzie beztroscy. Szybko zapomną o kłopotach, chyba że znowu coś się wydarzy.

- Karuzela jest w porządku? - wyraził nadzieję Andy.

- Tak - odparł pan Carson z zawziętym wyrazem twarzy. - Nie to mnie martwi. Mój pomocnik, mechanik, powiedział, że ktoś musiał grzebać w silniku. Śruby zostały poluzowane. Podpora się obsunęła, zablokowała obrót koła karuzeli i śruby puściły. Dlatego cała karuzela się przewróciła.

- Myśli pan, że to był sabotaż? - zapytał Bob.

- Tak - przyznał pan Carson. - Jestem wam winien przeprosiny, chłopcy. Rzeczywiście wszystko wskazuje na to, że ktoś próbuje zrujnować wesołe miasteczko.

- Niekoniecznie, proszę pana - wybuchnął Jupiter. - Myślę, że sprawcą tych wszystkich kłopotów jest przestępca, który napadł na bank.

- Bandyta? - zdziwił się pan Carson. - Masz na myśli ten napad, który miał miejsce ostatniego wieczoru, który spędziliśmy w San Mateo?

- Tak, proszę pana - oznajmił Jupiter. - Myślę, że ten przestępca jest pracownikiem wesołego miasteczka!

Pan Carson wybuchnął gniewem.

- To absurdalny pomysł! Była tu policja i nic nie znalazła!

- Ponieważ złoczyńca podpalił wesołe miasteczko - pospieszył z wyjaśnieniem Jupiter. - Chciał zyskać na czasie, zmienić przebranie i ukryć coś w jednym z wypchanych kotów! To dlatego tak bardzo pragnął zdobyć te koty.

- Żaden z moich pracowników nie wygląda jak złodziej opisywany przez policję z San Mateo. Nikt nie ma tatuażu.

- Jupe twierdzi, że ten człowiek działa zawsze w przebraniu. Nawet tatuaż jest fałszywy - dorzucił Pete.

Pan Carson spojrzał na chłopców.

- Tak, to jest możliwe, ale kto...

Jupiter przerwał mu gwałtownie:

- Chyba wiemy, kto to jest, proszę pana. Gdy nam uciekł, znaleźliśmy jego ubranie i sądząc po tym, co powiedział nam Andy, przypuszczam, że złodziejem jest Zdumiewający Gabbo!

- Gabbo? - twarz pana Carsona przybrała dziwny wyraz.

- Tak, proszę pana! - kontynuował Jupiter. - Andy powiedział nam, że pan niezbyt dobrze pamięta, jak on wyglądał. Myślę, że jeśli...

- Mylisz się - pan Carson przerwał Pierwszemu Detektywowi, podnosząc do góry rękę. - Wasze rozumowanie i wnioski są świetne. Naprawdę, wręcz imponujące. Ale posłuchajcie. Kiedy policja powiedziała mi, że złodziej uciekł ze ślepej uliczki, od razu przypomniałem sobie Gabba i jego kryminalną przeszłość. Pomyślałem, że może ukrywać się w moim wesołym miasteczku. Mógłbym go rozpoznać, gdybym wiedział, że jest gdzieś w pobliżu i go poszukał. Tak więc zrobiłem. Przyjrzałem się wszystkim moim pracownikom bez kostiumów!

- Na... naprawdę pan to zrobił? - wyjąkał Jupiter.

- Tak, chłopcze - odparł pan Carson łagodnym głosem. - Żaden ani trochę nie był podobny do Gabba. Poza tym, większość z nich jest znacznie starsza od niego. Oczywiście, gdyby złodziej był pracownikiem wesołego miasteczka, tłumaczyłoby to pożar i ucieczkę Rajaha, ale nie otrucie kucyków. No i po co miałby teraz niszczyć karuzelę?

Jupiter zasepił się.

- Tak, to wydarzenie zupełnie do tego nie pasuje - przyznał.

- Przykro mi, raczej wygląda na to, że ktoś próbuje zrujnować moje wesołe miasteczko. To prawdopodobnie babcia Andy'ego - powiedział pan Carson ponuro. - Zgadzam się, że poszukiwacz wypchanych kotów i złodziej z banku to ta sama osoba, ale z pewnością to ktoś spoza wesołego miasteczka. Jestem przekonany, że go już więcej nie zobaczymy. Biorąc pod uwagę wszystko, co mi powiedzieliście, sądzę, że zdobył to, czego szukał. I nie miał żadnych powodów, żeby uszkodzić karuzelę.

- O rany! - westchnął Pete. - Chyba ma pan rację.

- Tak czy inaczej, proszę was, chłopcy, żebyście mieli oczy szeroko otwarte i poszukali prawdziwego sprawcy tych wszystkich wypadków. Muszę wracać do pracy, a wy możecie chodzić po wesołym miasteczku, gdzie tylko chcecie. Ale bądźcie ostrożni!

- Dobrze, tato - obiecał Andy.

Pan Carson pokiwał głową w zamyśleniu, uśmiechnął się do chłopców i poszedł nadzorować prace przy karuzeli. Koledzy popatrzyli na siebie. Jupiter zagryzł dolną wargę.

- Bytem absolutnie pewien, że moje przypuszczenia są słuszne - powiedział.

- Ale pan Carson ma rację - mruknął Bob. - Złodziej nie miałby powodów, żeby psuć karuzelę.

- Musi być już daleko stąd - dodał Andy.

- Być może - nie ustępował Jupiter - ale przypuśćmy, że tu został. Wtedy miałby dwa powody, żeby uszkodzić karuzelę. Może chciał skrócić występy w Rocky Beach po to, żeby niepostrzeżenie opuścić wesołe miasteczko.

- Nie zrobiłby tego teraz, nie sądzisz, Jupe? - zapytał Andy. - To znaczy, myślę, że poczekałby, aż sytuacja się trochę uspokoi.

- Może i tak - zgodził się Jupe. - A jeśli jeszcze nie znalazł w wypchanych kotach tego, czego szukał? Jesteś pewien, że miałeś tytko pięć kotów?

- Tak. Na pewno było ich pięć, kiedy tu przyjechaliśmy.

- Zastanawiam się... - zaczął Jupiter zadumany - czy to coś nie mogło wypaść z wypchanego kota? Może w żadnym z tych kotów nie było tego, co tam ukrył? Jeśli tak, może to jest w twojej przyczepie! Czy ona stoi nadal obok strzelnicy?

- Tak. Mówiłem ci przecież, że chcę mieć ją zawsze na oku.

- Ale teraz jej nie pilnujesz! - zawołał Jupiter. - I to dlatego, że popsuła się karuzela!

- Myślisz, że on chce znowu odwrócić naszą uwagę?

- Czemu nie? Już dwa razy mu się udało - przypomniał Jupiter. - Awaria karuzeli jest niewielka. Gdyby ktoś próbował zrujnować wesołe miasteczko, mógłby zupełnie ją zniszczyć. Pospieszmy się! Chodźmy do przyczepy Andy'ego!

Ruszyli szybkim, ale spokojnym krokiem w stronę strzelnicy. W wesołym miasteczku wciąż przybywało gości i chłopcy ostrożnie lawirowali pomiędzy nimi, żeby dojść na tyły strzelnicy. Obeszli stragan dookoła. Kiedy znaleźli się w jego cieniu, ujrzeni lalki, zabawki i inne niewielkie nagrody rozsypane na ziemi.

- Ktoś się tu włamał! - szepnął Andy.

- Spójrzcie! - powiedział Bob.

Za przyczepą przemknął czyjś cień. Ktoś uciekał przez pusty plac za straganami i namiotami wesołego miasteczka, przez wąską dziurę w prowizorycznym ogrodzeniu, prosto w kierunku opuszczonego parku zabaw.

- Za nim! - zarządził Jupiter ściszym głosem.

Rozdział 16

Nocny pościg

- Tam - powiedział Pete. opanowanym głosem - przechodzi przez ogrodzenie.

- Uważajcie, żeby nas nie dostrzegł - szepnął Jupiter.

Jeden za drugim, przez dziurę w parkanie wśliznęli się do cichego i mrocznego parku zabaw. Zrujnowane tory kolejki sterczały nad ich głowami, oświetlone blaskiem wschodzącego księżyca. Stare belki przeraźliwie trzeszczały i jęczały, miotane silnym górskim wiatrem, wiejącym w kierunku morza.

- Nie widzę go - wymamrotał Bob.

- Tssss - szepnął Jupiter. - Posłuchajcie.

Skuleni w cieniu wielkiego płotu wsłuchiwali się w nocne odgłosy. Mieli wrażenie, że skoczna muzyka, płynąca z głośników naprawionej karuzeli, dochodzi z bardzo daleka. W pograżonym w ciemnościach parku zabaw nikt nie dawał znaku życia. Po lewej stronie chlupotała woda w Tunelu Zakochanych. W trawie coś szeleściło, prawdopodobnie szczury. Poza tym było zupełnie cicho.

- Nie mógł daleko odejść - powiedział Jupiter półgłosem. - Podzielimy się. Pete i ja obejdziemy kolejkę z prawej strony. Andy i Bob pójdą w lewo.

- Myślisz, że to ten złodziej? - zapytał Andy.

- Tak - odparł Pierwszy Detektyw. - Przypuszczam, że nic nie znalazł w kotach, więc poszedł przeszukać przyczepę. Jeśli tam wreszcie coś znalazł, może być teraz bardzo niebezpieczny. Gdybyście go zauważyli, idźcie za nim, ale nie próbujcie go złapać.

Chłopcy skinęli głowami na znak zgody. Bob i Andy skierowali kroki w lewo, w stronę Tunelu Zakochanych i brzegu oceanu. Jupiter i Pete ruszyli w prawo, przechodząc ostrożnie między rusztowaniami kolejki górskiej a roześmianymi ustami Domu Śmiechu.

Opuszczony park zabaw wyglądał w nocy zupełnie księżycowe. Pete i Jupiter minęli Dom Śmiechu i szli wzdłuż torów starej kolejki. Niespodziewanie Pete przykucnął.

- Jupe! Coś słyszałem! - szepnął.

Spod pograżonych w ciemnościach belek rusztowań i gdzieś zza nich dochodził niewyraźny, powtarzający się dźwięk. Było to ledwo słyszalne skrobanie, tak jakby ktoś ubrany w ciężkie buty chodził po szorstkim drewnie. Potem usłyszeli wyraźny szelest nóg. Ciężkie kroki odchodzącego

mężczyzny.

- Widzę go! - syknął Pete. - Idzie w kierunku Domu Śmiechu.

- Poznajesz go?

- Nie - odparł Pete. - Wszedł do Domu Śmiechu.

- Pospieszmy się. Stamtąd może być jeszcze jedno wyjście!

Przebiegli bezgłośnie przez oświetlony księżycową poświatą trawnik, prosto do rozdziawionych ust Domu Śmiechu. W środku przystanęli nasłuchując. Byli w mrocznym korytarzu, za którym rozciągały się kompletne ciemności. Plamy wpadającego przez dziury w dachu światła księżyca były jedynymi jaśniejszymi punktami.

- Na pewno poszedł prosto - szepnął Pete.

Jak gdyby na potwierdzenie jego słów, usłyszeli gdzieś przed sobą ostre skrzypnięcie, a zaraz po nim łomot i krzyk. Tak jakby coś ciężkiego stoczyło się i uderzyło o drewno. Jeszcze jedno skrzypnięcie, uderzenie, a potem cisza.

Chłopcy spojrzeli na siebie zaniepokojeni i ostrożnie ruszyli ciemnym korytarzem. Niespodziewanie wyrosły przed nimi zamknięte drzwi.

- Otwieraj je ostrożnie... - zaczął Jupiter.

Nie skończył, bo nagle trzasnęła uciekająca im spod nóg podłoga. Upadli na plecy i zaczęli zsuwać się w dół, jak na zjeżdżalni.

Nie było tam nic, czego mogliby się złapać. Młóćąc rękami, spadali bezwładnie, aż wreszcie z łomotem uderzyli w przeciwległą ścianę.

- Ufffff - obaj z trudem łapali oddech.

Rozprostowali nogi i ręce. Usiedli, patrząc z przerażeniem, jak podłoga, która zamieniła się w stromą zjeżdżalnię, wraca do góry, na swoje miejsce, tworząc teraz sufit ciemnego, wąskiego pomieszczenia.

- Cała podłoga się obsunęła! - wydyszał Pete. - Została tak wyważona, aby ten, kto przekroczy jej środek, opadł jak na huśtawce.

- To jedna z atrakcji Domu Śmiechu - wytłumaczył Jupiter. - Złodziej musiał tu spaść tuż przed nami, ale dokąd potem poszedł?

- Jest tylko jedno wyjście - powiedział Pete.

Dokładnie naprzeciwko nich była w ścianie okrągła, nieduża dziura.

- Ostrożnie - szepnął Jupiter - pewnie czekają nas kolejne niespodzianki,

Wpełzli do wąskiego tunelu. Po chwili wynurzyli się w niewielkim pokoju. Przez szpary w suficie wpadało światło.

Tylko że to, co wzięli za sufit, wcale nim nie było. To była podłoga!

- Juuuuupe! - wymamrotał Pete drżącym głosem.

Wyglądało na to, że stoją do góry nogami w mrocznej, srebrzystej sali. Podłoga z krzesłami, stołem i szafką wisiała nad ich głowami. Tuż obok nich stał żyrandol, a wiszące odwrotnie obrazy migotały przed ich zdumionymi oczami.

- Niezła sztuczka - powiedział Jupiter. - Prawdopodobnie kiedyś używali efektów świetlnych, żeby wyglądało to jeszcze bardziej realistycznie.

- Jesteś pewien, że nie stoimy do góry nogami? - zapytał Pete z wątpliwością w głosie.

- No pewnie - odparł Jupiter. - Tutaj jest następne okrągłe wyjście. Chodźmy!

Kolejny tunel był znacznie szerszy. Gdy tylko do niego weszli, nagle drgnął i zaczął się toczyć. Domyślili się, że było to coś w rodzaju beczki. Obroty wkrótce ustały, ale chłopcy nadal nie mogli złapać równowagi. Potykali się i wpadali na rozhuśtane ściany.

- Posłuchaj! - szepnął ostrzegawczo Jupiter.

Gdzieś przed nimi zabrzmiały ostrożne kroki.

- Tam... - zaczął Pete, po czym jęknął: - Och...

Znaleźli się w pomieszczeniu dłuższym i widniejszym niż poprzednie.

Sufit był nadgniły i do wnętrza wpadało światło księżyca, tworząc ciemne, tańczące plamy cieni. Ale to nie cienie przerażyły Pete'a.

Także Jupiter dygotał ze strachu.

Dziwaczny kształt przesuwiał się wzdłuż ściany w prawą stronę. Olbrzymi potwór, patrzący prosto na chłopców. Był wysoki, okropnie chudy, miał wielką, spuchniętą głowę i ręce tak długie i cienkie jak macki. Jego zdumiewające ciało falowało i unosiło się w srebrzystym świetle jak gigantyczny, człekopodobny wąż.

- C-c-co t-t-to j-jest? -- wyjąkał Pete, przysuwając się do przyjaciela.

Jupiter przełknął ślinę.

- Nie wiem... Może... - nagle wybuchnął nerwowym śmiechem. - To są lustra. Jesteśmy w sali

krzywych zwierciadeł! Widzimy swoje powykręcane odbicia!

- Lustra? - z niedowierzaniem zapytał Pete. - To dlaczego słyszę czyjeś kroki?

- Chyba ci się wydaje... - zaczął Jupiter.

- Och, nie! Czy to jest lustro? - prawie bezgłośnie jęknął Pete.

Prosto przed nimi, z dala od luster, w przyćmionym świetle księżyca, przykucnął czyjś cień, tak jakby ich podsłuchiwał albo obserwował. Był to człowiek o szerokich ramionach, nagim torsie i głowie porośniętej bujnymi włosami.

- Khan! - z gardła Pete'a wyrwał się mimowolny okrzyk. Siłacz rozejrzał się czujnie.

- Wyłażcie stamtąd!

Jupiter chwycił Pete'a za ramię.

- Nie widzi nas.

Khan ryknął:

- Słyszę was! Zaraz was złapię!

- Tędy! - szepnął Pete. - Tam są drzwi!

Chłopcy wysliznęli się przez drzwi, które Pete dostrzegł pomiędzy lustrami. Znaleźli się w wąskim korytarzu bez sufitu. Trzy metry dalej było rozwidlenie. Za plecami usłyszeli ostre przekleństwo. Khan znalazł drzwi.

- W lewo. Ta droga prowadzi do wyjścia - popędzał przyjaciela Pete.

Pierwszy Detektyw biegł przez kolejne korytarze, które rozgałęziały się co trzy metry. Zawsze skręcał w lewo. Gdzieś za nimi Khan, objając się o ściany i ciężko sapiąc, parł naprzód. W końcu chłopcy dotarli do drzwi, otworzyli je i weszli... do sali luster!

- To labirynt! - stwierdził przerażony Jupiter. - Kolejna niespodzianka Domu Śmiechu. Chodziliśmy w kółko.

- Khan idzie za nami! - zawołał rozpaczliwie Pete.

Jupiter zagryzł wargę.

- Musi być jakieś rozwiązanie. Ta droga zaprowadziła nas donikąd. Tym razem spróbujemy skręcać w drugą stronę.

Popędzili do drzwi, którymi po raz pierwszy opuścili salę luster. Wybierali korytarze wiodące

w prawo. Biegli słysząc za plecami człapanie Khana. Po jakimś czasie odgłos kroków zaczął słabnąć i chłopcy znaleźli się przed podwójnymi drzwiami. Pchnęli je i stanęli na zewnątrz budynku, pomiędzy ścianą Domu Śmiechu a Tunelem Zakochanych.

- Miałeś rację, Jupe!

- Na szczęście! - powiedział dumnie Jupiter, - Teraz odnajdziemy pana Carsona i powiemy mu, że Khan...

Niespodziewanie rozległ się trzask pękającego drewna. Chłopcy patrzyli z przerażeniem, jak potężna sylwetka siłacza wynurza się zza rozwalonej ściany Domu Śmiechu. Oczy Khana błyszczały dziko jak w obłądzie!

Rozdział 17

Czarny kształt

Jupiter i Pete, wstrzymując oddechy, siedzieli skuleni w ciemnościach. Khan stał niedaleko zniszczonej ściany Domu Śmiechu i nasłuchiwał.

- Nie widzi nas - szepnął drżącym głosem Jupiter - ale wkrótce nas spostrzeże.

- Nie zdołamy dotrzeć do dziury w płocie - powiedział Pete - bo musielibyśmy przejść obok siłacza. Jeśli się stąd nie wydostaniemy, z pewnością.....

- Tunel Zakochanych! Musimy się tam doczołgać! - szepnął Jupiter.

Od wejścia do Tunelu Zakochanych dzieliło ich kilka metrów. Zaczęli pełznąć, kryjąc się w cieniu stojącej niedaleko kolejki górskiej. Woda połyskiwała w kanale, ginącym pomiędzy ścianami krytego dachem pawilonu. Chłopcy bezszelestnie zakradli się do środka. Wstali.

- Chyba nie poszedł za nami - stwierdził Pete.

- Nie dostrzegł nas - powiedział Jupiter. - Ale na pewno tu zajrzy i poczeka na nas na zewnątrz. Wie, że jesteśmy gdzieś w pobliżu, i zdaje sobie sprawę, że go widzieliśmy. Będziemy musieli znaleźć inne wyjście.

Szli ostrożnie wzdłuż brzegu leniwie płynącej wody. Ścieżka przekształciła się w wąski, drewniany pomost. Był mokry i śliski. Kiedyś używano go jako wyjścia awaryjnego. Było to też dojście do platform, z których wyskakiwały dziwne przedmioty, straszące zakochanych, odbywających romantyczne przejażdżki. Podesty były teraz puste. Zobaczyli tylko starą łódź, przycumowaną do pomostu.

- Jupe! Czuję powiew wiatru - powiedział Pete. - Gdzieś tu musi być wyjście.

- W pobliżu jest ocean. Ale Khan pewnie o tym wie....

Usłyszeli hałas. Gdzieś przed nimi skrzypnęła obłuzowana deska.

- O rany, widocznie obszedł pawilon dookoła, żeby udaremnić nam ucieczkę! - stwierdził Pete.

- Stój! - ostrzegł przyjaciela zdenerwowany Jupiter.

Zamarli w bezruchu, sparaliżowani strachem. Przez dziurę w dachu Wpadało światło księżyca. W oddali dostrzegli ciemną sylwetkę.

- Idzie w naszym kierunku - szepnął Pete.

- Szybko! Wracamy! - ponaglał Jupiter.

Cień stojącego przed nimi człowieka poruszył się, chłopcy usłyszeli szczęk ładowanego rewolweru! Pete dotknął ramienia Jupitera.

- Jeśli wrócimy tą samą drogą - syknął Pete - będziemy musieli przejść przez plamę księżycowego światła. Wtedy nas zobaczy i strzeli!

- Łódź! - powiedział rozpaczliwie Jupiter.

Nie opodal stała przycumowana stara krypa. Jej dziób pokryty był brezentem. Ostrożnie, nie robiąc hałasu, wśliznęli się do niej i ukryli pod płótnem. Leżeli bez ruchu, powstrzymując oddechy.

Mijały minuty

Nagle na pomoście rozległy się kroki. Usłyszeli cichutki pisk trących o drewno, gumowych podeszew i dźwięk obijającego się o ścianę metalu, prawdopodobnie rewolweru.

Potem zaległa cisza.

Woda leniwie unosiła łódź, ocierając ją o deski pomostu.

Stojący nad nimi człowiek wykonał ostrożny ruch, jego gumowe buty zapiszczały tuż nad głowami chłopców. Łódka zaczęła bujać się gwałtowniej, jak gdyby ktoś jej dotknął. Po chwili kołysanie stało się delikatniejsze, słychać było tylko odgłos oddalających się kroków.

Chłopcy ukryci pod brezentem, wstrzymując oddechy, czekali cierpliwie, aż dźwięki zupełnie umilkną. Po kilku minutach słyszeli tylko plusk wody, uderzającej o łódkę.

- Poszedł sobie! - szepnął Pete.

Jupiter nie odpowiedział. Pete zerknął na przyjaciela. Pierwszy Detektyw patrzył w ciemność i

był myślami bardzo daleko.

- Pete - powiedział nagle przysadzisty przywódca - musimy natychmiast wracać do wesołego miasteczka! Myślę, że rozwiązałem tę zagadkę.

- To znaczy Khan ci w tym pomógł, idąc za nami?

- W pewnym sensie - powiedział niejasno Jupiter. - Wiem, gdzie możemy znaleźć to, czego szuka złodziej!

- Chyba nie przypuszczasz, że on tego jeszcze nie ma?

- Jestem o tym przekonany. Podejrzewam, że przez cały czas szukamy w złym miejscu...

Mała łódź przechyliła się niebezpiecznie i zaczęła gwałtownie podskakiwać na wodzie. Jupiter zamilkł. Pete usiadł wyprostowany, czujnie nadstawiając uszy.

- Coś tu nie tak! Ta krypa za bardzo się kołysze! Nie ociera się o deski pomostu! Co się dzieje? Podnieśmy płótno!

Przesunęli razem ciężki brezent i spróbowali wstać. Wiatr uderzył ich w twarze, a łódka przechyliła się tak gwałtownie, że upadli. Pete rozejrzał się.

- Jesteśmy na oceanie! - zawołał.

Ciemne kontury opuszczonego parku zabaw były daleko za nimi, a światła wesołego miasteczka stały się małymi punkcikami. Jupiter spojrział na cumę.

- Została odcięta. Tunel Zakochanych wychodzi na ocean, złodziej widocznie wiedział o tym! Przeciągnął łódź wzdłuż pomostu i wypchnął ją na otwarte morze.

- Będzie odpływ, a w tym miejscu jest bardzo silny prąd - stwierdził Pete. - Poruszamy się z dużą prędkością.

- W takim razie wracajmy jak najszybciej!

Pete pokręcił głową.

- Ta łódź nie ma wiosła! Ani silnika, ani żagli! Nie zdołamy dostać się do brzegu.

- Musimy! Płynijmy wpław! - zawołał Jupiter. Przysadzisty chłopiec skoczył do wody. Za nim Pete. Zaczęli płynąć w kierunku brzegu. Jednak prąd był zbyt silny.

- Nie poradzę sobie - sapnął Jupiter.

Pete był znacznie lepszym pływakiem niż Jupiter, ale nawet on nie dawał rady.

- Nigdy tam nie dopłyniemy! Wracajmy!

Pozwolili nurtowi wody zanieść się z powrotem do łodzi. Podciągnęli się na burcie i wgramolili do środka. Przez chwilę leżeli na dnie, ciężko dysząc. Jupiter spróbował wstać.

- Sygnalizator! - przypomniał sobie. - Bob na pewno zobaczy sygnał.

Wyjął z kieszeni mały przyrząd i natarczywie przemówił do niego.

- Nie działa! Woda go zniszczyła! - powiedział rozczarowany.

Zaczęli wołać o pomoc, ale słowa ginęły na wietrze. Byli za daleko od lądu, by ktoś mógł ich usłyszeć. W pobliżu nie było widać żadnych łodzi. Światła na brzegu oddalały się, a ich szalupa błędziła po rozkołysanym, oświetlonym blaskiem księżyca oceanie. Woda zaczęła przelewać się przez burty.

- Wybieramy! - zarządził Pete. - Tu są dwie puszki, które mogą do tego służyć!

Jupiter zabrał się do pracy.

- Musi nam się udać!

- Obawiam się, że nie damy rady. Prąd jest zbyt silny - oznajmił Pete. - Wiatr od lądu spowalnia nasze ruchy, bez wiosła, bez żagli....

Pete przerwał. Spojrzał na Jupitera. Przysadzisty chłopiec przestał wybierać wodę i patrzył w dal, ponad ramieniem Pete'a. Wskazał drżącą ręką przed siebie.

- Co to jest? Ten wielki, czarny....

Pete odwrócił głowę.

Dokładnie na wysokości kołyszącej się łodzi wyrastał z oceanu niewyraźny, ogromny, czarny kształt. Wznosił się tuż nad nimi.

Rozdział 18

Bezludna wyspa

Bob i Andy okrążyli starą kolejkę górską, wracając do miejsca, z którego wyruszyli. Nie spotkali jednak Pete'a i Jupitera. Bob rozejrzał się uważnie dookoła.

- Coś tu nie gra - powiedział. - Do tej pory powinniśmy byli się na nich natknąć albo spotkać

ich tutaj.

- Popatrz!

Chłopiec z wesołego miasteczka wskazał na połamane deski, sterczące ze ściany Domu Śmiechu.

- Tej dziury tu nie było! Jestem tego pewien.

Stojąc w mroku, chłopcy patrzyli bezmyślnie w głąb oświetlonego światłem księżyca parku zabaw.

- Pete! Jupe! - zawołał Bob.

- Ktoś idzie! - powiedział Andy.

Za ogrodzeniem rozległy się czyjeś szybkie kroki. Nagle z dziury w płocie wyłoniło się dwóch mężczyzn.

- To twój tata - zakomunikował Bob.

Pan Carson podbiegł do nich.

- Nic wam się nie stało?

- Nie - odparł Bob - ale nie możemy znaleźć Pete'a i Jupe'a.

- Razem śledziliśmy człowieka z przyczepy i tutaj się rozdzieliliśmy, a teraz oni zniknęli.

- W takim razie Khan miał rację - powiedział pan Carson, marszcząc brwi.

Brodaty stocz zbliżył się do pana Carsona. Jego mięśnie i ciężkie buty błyszczały w świetle księżyca. Kiwnął głową do chłopców.

- Widziałem kogoś przeszukującego przyczepę Andy'ego - wyjaśnił. - Śledziłem go aż do tego miejsca, ale zgubiłem trop w Domu Śmiechu.

- Nie widział pan Pete'a albo Jupe'a ?

- Nie.

- W porządku, nie panikujmy - powiedział uspokajająco pan Carson. - Andy, sprowadź kilku ludzi z latarkami. Khan, Bob i ja zaczniemy szukać na otwartym terenie.

Andy pobiegł po pomoc. Bob podążył za Khanem i panem Carsonem, żeby przeszukać opuszczony park zabaw. Nie znaleźli śladu Pete'a ani Jupitera. Wkrótce przyszedł Andy z załogą wyposażoną w latarki. Rozeszli się, niosąc zapalone reflektory. Przepatrywali wszystkie stare

zabudowania. Pan Carson, jego ludzie oraz Khan weszli do jednego z budynków. Chłopcom kazali zostać na zewnątrz. Bob się zamyślił.

- Khan twierdzi, że tropił człowieka, który był w twojej przyczepie - powiedział. - Gdyby tak było, to dlaczego nie widzieliśmy dwóch postaci?

- Nie wiem. Powinniśmy, chyba że...

- Moim zdaniem nie było ich dwóch. Myślę, że śledziliśmy Khana!

- To znaczy - sapnął Andy - że Khan jest złodziejem?

Bob kiwnął potakująco głową.

- Jupiter podejrzewał go od jakiegoś czasu. Nie znamy jego prawdziwego nazwiska. Ciągłe się gdzieś zakrada. Obserwuje nas. Starał się przekonać twojego tatę, żeby zamknął wesołe miasteczko. Mam wrażenie, że uwięził Pete'a i Jupe'a. Próbuje wyprowadzić nas w pole. Musimy jak najszybciej porozmawiać z twoim tatą.

Pobiegli w kierunku zniszczonego Domu Śmiechu, gdzie światła latarek migotały przez szczeliny ścian budynku. Dotarli na miejsce w chwili, kiedy pan Carson, ocierając czoło, wychodził ze środka.

- Na razie ani śladu chłopców - powiedział. - Ale znajdziemy ich.

- Nie sądzę, proszę pana - oznajmił stanowczo Bob. - Myślę, że Khan nas zwodzi! To on jest złodziejem i wie doskonale, gdzie oni są!

- Khan? - zapytał pan Carson. - To poważne oskarżenie. Jakie masz na to dowody?

- Jestem przekonany, że to on był w przyczepie Andy'ego. Jego śledziliśmy. Uwięził Pete'a i Jupe'a, a teraz próbuje zmylić ślady. Wiem, że tak jest, proszę pana!

Pan Carson zawahał się.

- To nie jest żaden dowód. I nie zapominaj, że Khan jest stróżem Wesołego miasteczka. Ma prawo interesować się wszystkim, co się dzieje na jego terenie. To zabawne, wasze wersje się nie zgadzają. Znajdźmy Khana i zapytajmy go o szczegóły.

Pan Carson wszedł z powrotem do Domu Śmiechu. Chłopcy czekali niecierpliwie na zewnątrz. Minęło dziesięć minut. Bob przechadzał się w ciemnościach. A jeśli nie ma racji? Był jednak pewien...

Pan Carson szedł szybkim krokiem. Twarz miał pochmurną.

- Khana nie ma w Domu Śmiechu! Nikt go nie widział. Powiedział moim ludziom, że musi wracać do wesołego miasteczka. Jednak nie przypominam sobie, żeby mnie o tym mówił! Chodźcie,

chłopcy.

Przeszli pospiesznie przez ogrodzenie i znaleźli się na terenie wesołego miasteczka. Khana nie było ani w namiocie, ani w przyczepie kempingowej. Po prostu zniknął. Nikt też nie widział Pete'a i Jupe'a.

- Trzeba zawiadomić policję - zdecydował pan Carson.

Na oceanie, przed rozhuśtaną łodzią wznosił się gigantyczny, czarny kształt. Pete zawołał:

- To Anapamu! Najmniejsza wyspa na tym kanale. Z niej jest blisko do lądu. Tytko jedna mila. Musimy się do niej dostać!

- Na pewno tam dotrzemy - powiedział Jupiter. - Płyniemy prosto na nią.

Chłopcy wychylili się przez burtę zbłąkanej szalupy. Zbliżali się powoli do wyspy. Zaczęli dostrzegać kształty drzew, skały na urwisku oraz przybrzeżne fale.

- Tam jest plaża - Pete wskazał w lewą stronę. - Ale tu dużo kamieni! Myślę, że...

Zamiast dokończyć zdanie, wskoczył do wody. Po chwili wynurzył się tuż za łódką. Złapał ręką rufę i popychając ją, sterował tak, żeby płynęła wzdłuż skalistego brzegu, w kierunku plaży.

Jupiter wytoczył się z łódki i razem wyciągnęli ją na piaszczysty brzeg.

- Udało się - sapnął Pete.

- I tak jesteśmy zgubieni! - zawołał Jupiter. - Nie zdołamy się stąd wydostać. A przecież musimy wracać, żeby złapać złodzieja!

- To jest po prostu nieduża, bezludna wyspa - uspokajał kolegę Pete. - Skały, drzewa i mały domek dla rozbitków. Łodzie przepływają tędy tylko w dzień. Jutro na pewno ktoś nas stąd zabierze.

- Jutro może być za późno - nie ustępował Jupiter. - Chodźmy do tej chatki.

Pete zaprowadził Jupe'a do niewielkiego budynku, obok którego stała maleńka budka. W pomieszczeniu znajdował się stół z surowego drewna, kilka krzeseł, łóżka, piecyk, a nawet coś do jedzenia. W przybudówce były małe maszty, dwa bomy, ster z przyłączonym do niego rumplem, kawałek sznurka i kilka desek. Były też gwoździe i różne narzędzia.

- Nie ma krótkofalówki - powiedział Pete. - Musimy zostać tu do rana. Jutro jakaś łódź nas zauważy albo ktoś nas znajdzie.

Jupiter nie odpowiedział. Patrzył na sprzęty zgromadzone w schowku.

- Myślisz, że moglibyśmy wrócić naszą łodzią, gdyby miała żagiel? - zapytał.

- Być może, ale potrzebny jest jeszcze maszt i ster.

- Przecież możemy wziąć te, które tu stoją. Ten brezent mógłby posłużyć jako żagiel!

- Te maszty są zbyt wielkie. Nawet jeśli udałoby się nam jeden występkować - powiedział Pete niepewnym głosem.

- Występkować? Co masz na myśli?

- To żeglarski termin na umocowanie masztu w specjalnym otworze, na dnie łodzi - wytłumaczył Pete. - Przecież musisz jakoś przymocować piętę masztu.

- Jasne, a co z tymi bomami? Mają połowę długości masztu. Może dałoby się wykorzystać jeden z nich?

Pete zamyślił się.

- Tak, można by go umocować w dziurze w ławce łódki. W budce jest piła i siekiera. Trzeba użyć desek, żeby zablokować bom na dnie szalupy! Mam nadzieję, że... ach nie, zapomniałem o czymś! Nie uda się nam tego zrobić!

- Dlaczego?

- Ta łódka nie posiada przecież kilu - odparł ponuro Pete. - Nie ma nawet wzmocnienia środkowego ani podtrzymujących burty bocznych desek. Na wietrze mogłaby się wywrócić dnem do góry. Poza tym bez kilu nie da się płynąć prosto.

Jupiter ciężko opadł na ławkę. Obgryzając paznokcie, przyglądał się bezużytecznym deskom. Spojrzał na dwa długie maszty.

- Czy one utrzymają się na wodzie? - spytał.

- Chyba tak. Chcesz dopłynąć do domu, siedząc na maszcie?

Jupiter zignorował poczucie humoru Pete'a.

- Co myślisz o tym, żeby przybić te deski do masztów. Potem przybijemy ich wolne końcówki do burt i...

- Pływaki! - zawołał Pete. - To jest myśl! Nie będą doskonałe, ale mamy tylko milę do przepłynięcia! Jeśli wiatr się utrzyma, pływaki pomogą nam dotrzeć do domu!

- Pospieszmy się! Musimy natychmiast wracać!

Rozdział 19

Dziwny widok

Minęły ponad dwie godziny od czasu, kiedy Bob powiedział o swoich podejrzeniach prowadzącemu śledztwo komendantowi Reynoldsowi. Policja nie znalazła jeszcze żadnych śladów Jupitera i Pete'a ani Khana. Komendant przechadzał się po wesołym miasteczku, gdzie bawiły się tłumy ludzi, nie zdających sobie sprawy z dziejącego się dramatu. Pan Carson, Bob i Andy czekali niecierpliwie.

- Myślisz, Bob, że to Khan ukradł pieniądze z banku? - upewniał się komendant.

- Tak, proszę pana!

- Zastanawiam się, czy ten złodziej rzeczywiście był w Rocky Beach. Wiele osób twierdzi, że go widziało, ale kiedy przychodzi co do czego, nikt nie potrafi go opisać.

- Jupe też zwrócił na to uwagę - przypomniał Bob.

- Jupiter to bystry chłopak - przyznał komendant.

- On przypuszcza, że złodziej nie odnalazł jeszcze tego, co ukrył w wypchanym kocie - mówił dalej Bob. - Moim zdaniem, to właśnie Khan włamał się do przyczepy Andy'ego. Pewnie czegoś tam szukał. To dowodzi, że jest złodziejem!

- Tak mogło być - powiedział szef policji.

- Khan to dziwny człowiek - zauważył pan Carson. - Zawsze trzymał się na uboczu. Z nikim się nie zaprzyjaźnił.

- Znajdziemy go - zapewnił komendant Reynolds. Policja i ludzie pana Carsona rozeszli się po terenie wesołego miasteczka. Przeszukiwali stragany, namioty i pojazdy. Okazało się, że nie brakowało żadnego samochodu ani ciężarówki. Ponownie przeczესali stary park zabaw, sprawdzili brzeg oceanu, ulice i budynki w pobliżu wesołego miasteczka. Minęła godzina i nadal nie odnaleźli chłopców ani Khana.

- Obawiam się, że to poważna sprawa - przyznał w końcu komendant Reynolds. - Wygląda to tak, jakby chłopcy rozplłynęli się w powietrzu. Nie poddamy się. Prawdopodobnie stary park zabaw jest kluczem do rozwiązania zagadki. Policjanci nadal prowadzą tam poszukiwania...

Nagle usłyszeli krzyki dochodzące z lunaparku.

- To moi ludzie - wyjaśnił komendant. - Znaleźli coś! Chodźcie ze mną!

Bob i Andy oraz pan Carson pobiegli za komendantem. Przeleźli przez dziurę w wysokim

ogrodzeniu. Zobaczyli grupkę policjantów oraz robotników z wesołego miasteczka, stojących na brzegu oceanu.

- Znaleźliście chłopców? - zapytał szef policji.

- Nie, komendancie - zakomunikował jeden z policjantów - ale złapaliśmy jego!

Dwaj policjanci wypchnęli Khana do przodu. Siłacz opędzał się od nich jak od much, rzucając obecnym ponure spojrzenia.

- Co to, do cholery, znaczy! - protestował.

Muskuły brodatego siłacza błyszczały w silnym świetle reflektorów.

- Co tutaj robisz, Khan? - zapytał oschle pan Carson.

- To moja sprawa.

Bob nie wytrzymał.

- To on jest złodziejem! Musi nam powiedzieć, co zrobił z Jupe'em i Pete'em!

- Złodziejem? - wrzasnął Khan. - Nic nie ukradłem, głupcy! Powiedziałem już przecież, że śledziłem włamywacza.

- Co zatem robiłeś przez ostatnie trzy godziny? Nigdzie nie mogliśmy cię znaleźć! - dopytywał się komendant Reynolds.

- Przyszedłem tutaj, żeby samemu poszukać złodzieja! Miałem przeczucie...

- On kłamie! - zawołał Bob. - Założę się, że nawet jego broda jest fałszywa!

Nim Khan zdążył zaprotestować, komendant chwycił go za bujny zarost. Szef policji, odepchnięty przez siłacza, zatoczył się, a w jego ręku została czarna broda. Wszyscy spojrzeli na oszusta.

- No proszę - przyznał Khan. - Rzeczywiście jest sztuczna. Następnie odkleił bokobrody i zdjął rozczochraną perukę. Obecnym ukazał się młody mężczyzna o jasnych, krótko ostrzyżonych włosach.

- Wszyscy pracownicy wesołego miasteczka przebierają się. Jaki byłby ze mnie siłacz, gdybym nie miał czarnej brody.

- Przecież ty nigdy nie zdejmowałeś brody i peruki! - powiedział pan Carson: - Kiedy cię zatrudniałem, miałeś bujne owłosienie i brodę. Pozwoliłeś nam myśleć, że naprawdę tak wyglądasz. Nawet wtedy, w San Mateo, kiedy policja przesłuchiwała nas wszystkich.

Khan machnął potężną ręką.

- Wiesz dobrze, dlaczego tak było, Carson. Jestem przyzwyczajony do pracy w lepszym miejscu niż to nędzne wesołe miasteczko. Nie chciałem być rozpoznany. Mógłbym stracić dotychczasową pozycję.

- Myślę, że on nie jest nawet siłaczem! - zawołał Andy. - Czy to nie jest Gabbo, tato?

- Nie - odparł pan Carson, przyglądając się uważnie Khanowi. - To nie jest Gabbo.

- Ale on na pewno kłamie - przekonywał Bob.

Khan popatrzył groźnie na Boba, jego mięśnie napięły się.

- Doprawdy, chłopcze? To dlaczego... Khan spojrział w stronę oceanu.

- Co to...?

- Komendancie, proszę popatrzeć! - zawołał jeden z policjantów.

Wszyscy odwrócili głowy we wskazanym kierunku. Oczom zebranych ukazał się dziwny widok. Na oświetlonej przez księżyc wodzie pojawił się, mocno przechylony w jedną stronę, statek zbudowany z dwóch pływaków i łódki. Na jego pokładzie stali Pete i Jupe, uśmiechnięci od ucha do ucha.

- To oni! - powiedział radośnie Bob.

- Pete, Jupe! - zawołał Andy.

Jupiter i Pete wciągnęli swój niezgrabny statek na plażę i podbiegli do przyjaciół. W ciągu kilku minut opowiedzieli o żeglowaniu po oceanie i o pobycie na wyspie.

- Przypłynęliście tym do brzegu? - komendant nie wierzył własnym oczom.

- Pete jest wspaniałym żeglarzem - wyjaśnił Jupiter. - Poza tym musieliśmy przecież natychmiast wracać. Chyba wiem, gdzie znaleźć to, czego szuka złodziej! Myślę, że jeszcze tego nie zdobył!

- Złapaliśmy złodzieja! - powiedział Bob. - To jest Khan, tak jak podejrzewałeś.

Jupiter przyjrzał się otoczonemu gromadą policjantów siłaczowi, który spoglądał na wszystkich ze złością.

- Nie - oznajmił Jupiter - Khan nie jest złodziejem.

- Mówiłem im to, chłopcze - mruknął Khan.

- On jest oszustem - oświadczył pan Carson. - Przecież przeszukiwał przyczepę Andy'ego. Sam go widziałeś!

- Nie sędzę, proszę pana - odrzekł Jupiter grzecznie, lecz stanowczo. - Kiedy siedziałem z Pete'em w łodzi, uświadomiłem sobie, że to są dwaj różni mężczyźni i że Khan śledził prawdziwego złoczyńcę. Kiedy usłyszał nas w Domu Śmiechu, pewnie pomyślał, że to my jesteśmy złodziejami.

- Jak doszedłeś do takiego wniosku? - zapytał komendant Reynolds.

- Ostrzegł, że nas widzi - wytłumaczył Jupiter. - Tak zachowuje się tylko ten, kto ściga, a nie jest ścigany. Prawdziwy złodziej chciałby być niezauważony!

Komendant kiwnął potakująco głową.

- Tak, rozumiem. Ale przecież nie możesz...

- Poza tym - śmiało kontynuował Jupiter - Khan był nagi do pasa, kiedy go zobaczyliśmy. Miał na sobie tylko obcisłe spodnie. Nie trzymał nic w rękach. Nie miał gdzie schować rewolweru ani noża. Mężczyzna, który przeciął cumę łodzi, nosił przy sobie nóż i pistolet!

- Ten chłopak jest bystrzejszy niż niejeden z was - powiedział drwiąco Khan.

- Jeszcze jedno - dodał Jupiter - gdy siedzieliśmy w łodzi, wyraźnie słyszeliśmy, że ktoś chodzi po pomoście w miękkich butach o gumowych podeszwach. Khan, jak widać, nosi wielkie, ciężkie buciory.

Siłacz wybuchnął śmiechem.

- Mówiłem wam, że jestem niewinny.

- Panie Khan, ja wcale tego nie twierdzę - oświadczył chłodno Jupiter. - Myślę, że jest pan oszustem i robi pan coś, co pragnie pan zachować w tajemnicy! Przybył pan do wesołego miasteczka w jakimś konkretnym celu. Spodziewam się, że komendant dowie się tego, jeśli zada panu odpowiednie pytanie w odpowiednim czasie.

Pierwszy Detektyw patrzył na Khana z oziębłym uśmiechem. Siłacz rozejrzał się, a potem spojrzał Jupiterowi prosto w oczy. W końcu westchnął.

- Całkiem sprytny z ciebie chłopak - powiedział. - Rzeczywiście mam tu specjalną misję do spełnienia. Kiedyś bytem siłaczem, ale zrezygnowałem z tego zajęcia kilka lat temu i zostałem prywatnym detektywem. Nazywam się Paul Harney. Babcia Andy'ego wynajęła mnie, żebym go pilnował i obserwował, co się dzieje na terenie wesołego miasteczka. Starsza pani uważa, że życie w takim miejscu jest nieodpowiednie dla młodego chłopca. Wysłała mnie, żebym chronił Andy'ego i sprawdził, czy jest tutaj bezpieczny.

- To nie ty byłeś sprawcą tych wypadków? - zapytał pan Carson.

- Nie, ale bardzo mnie one zaniepokoiły. Dlatego próbowałem pana przekonać, żeby zamknął pan wesołe miasteczko. Wtrącałem się do nie swoich spraw, ponieważ myślałem, że wydarzenia te mogą być niebezpieczne dla Andy'ego. Chciałem się przekonać, czy to rzeczywiście były tylko

przypadkowe nieszczęścia.

- Chroniłeś Andy'ego? - spytał z niedowierzaniem pan Carson.

- Tak, Carson. Takie było moje zadanie - odparł Khan.

Jupiter zmarszczył brwi.

- Z całym szacunkiem, panie Khan albo Harney, myślę, że pan w dalszym ciągu coś ukrywa. Poszedł pan do przyczepy Andy'ego sądząc, że można tam znaleźć to, czego szuka złodziej. To przecież nie miało żadnego związku z ochroną Andy'ego!

Oczy Khana błysnęły gniewnie. Milczał przez moment. Potem pokiwał potakująco głową.

- Masz rację. Po przesłuchaniu w San Mateo podejrzewałem, że złodziej pracuje w wesołym miasteczku. Jestem detektywem i bardzo by mi to pomogło w karierze, gdybym sam go złapał. Zacząłem zatem prowadzić dochodzenie. Gdy został skradziony kot Andy'ego, domyśliłem się, że w tych wypchanych zwierzakach coś ukryto. Ale nikt z pracowników wesołego miasteczka nie pasuje do opisu przestępcy. Ten człowiek zdobył już zapewne to, czego szukał. Mimo że nie znalazł tego w żadnym z tych wypchanych kotów.

- No tak - powiedział Andy - myślę, że to wypadło z któregoś z nich.

Obecni posępnie pokiwali głowami. Wszyscy, z wyjątkiem Jupitera.

- Mylicie się - oznajmił Pierwszy Detektyw. - Rzecz, którą chciał zdobyć przestępca, była i jest nadal w wypchanym kocie.

Rozdział 20

Jupiter rozwiązuje zagadkę

- To niemożliwe - zaprotestował Andy. - Przecież miałem tylko pięć kotów. Złodziej wszystkie je zdobył!

- Mylisz się, było ich sześć - oznajmił Jupiter tryumfalnie. - Miałeś pięć kotów, które rozdałeś tutaj, ale nadal masz szóstego. Wszyscy widzieliśmy go!

Pete gapił się na niego z otwartymi ustami;

- Widzieliśmy?

- Gdzie? - dopytywał się Bob.

- Pierwszego wieczoru, w wesołym miasteczku - powiedział Jupiter. - Było to takie oczywiste, że nie zwróciliśmy uwagi. Przypomnijcie sobie naszą wizytę w przyczepie kempingowej Andy'ego. Pokazywał nam wtedy zepsute.....

- Moje zepsute nagrody! - zawołał Andy. - W pudle! Tam nadal jest wypchany kot. Podczas pożaru w San Mateo trochę się nadpalił!

- Działo się to tej nocy, kiedy wybuchł pożar - wyjaśnił Jupiter. - Złodziej ukrył coś w wypchanym kocie, ale zwierzak dostał się do ognia i potem Andy wziął go do naprawy. Przestępca nie wziął pod uwagę takiej możliwości! Dopiero w łódce zdałem sobie sprawę, że złoczyńca cały czas próbuje nas odciągnąć od miejsca wypadków. To znaczy, że nadal nie znalazł tego, co ukrył, chociaż przeszukał przyczepę Andy'ego. Pomyślałem, że gdzieś musi być szósty kot. Wtedy przypomniałem sobie pudło ze starymi, zniszczonymi nagrodami.

- O rany! - zawołał Pete. - Nigdy byśmy na to nie wpadli!

- Mnie też by to nie przyszło do głowy. W dodatku okazuje się, że nadal mam jeszcze jednego kota - powiedział Andy.

- Wygląda na to, że złodziej też o tym nie pomyślał - stwierdził komendant Reynolds. - Dobra robota, Jupiterze! Jestem szczęśliwy, że mam takiego pomocnika...

Jupiter uśmiechnął się dumnie.

- To było jedyne logiczne rozwiązanie. Kiedy zauważyliśmy... - Słowa ugrzęzły mu w gardle. Czujnie rozejrzał się dookoła. - Komendancie, ktoś próbuje stąd uciec!

Usłyszeli, że ktoś biegnie w stronę ogrodzenia parku zabaw. Zgromadzeni na brzegu ludzie odwrócili głowy.

- Kto to był? - spytał komendant Reynolds.

- Nie wiem, proszę pana. Wszyscy przecież są tutaj - odparł któryś z policjantów.

- Człowiek, który stał w tym miejscu - powiedział jeden z pracowników wesołego miasteczka. - Nie zwróciłem uwagi, kto to był.

- Czy ktoś zauważył kogoś nieznanego? - zapytał pan Carson.

Obecni przecząco pokręcili głowami. Nagle Bob zawołał:

- Gdzie jest Khan? Siłacz zniknął.

- Prędko? - ponaglał Jupiter. - Ktokolwiek to był, usłyszał, gdzie jest szósty kot. Komendancie, pospieszmy się!

Wszyscy wybiegli z opuszczonego parku zabaw przez dziurę w płocie. Ostatni goście wesołego

miasteczka przyglądali się dziwnej pogoni, która zmierzała do miejsca postoju ciężarówek i przyczep. Andy wbiegł do samochodu kempingowego ojca. Wyszedł stamtąd po chwili.

- Wypchany kot zniknął! Ukradziono go!

- Zablokować wszystkie wyjścia! - zawołał szef policji.

- Przeszukać teren! - pan Carson wydał polecenie robotnikom. Obydwie grupy rozpoczęły poszukiwania.

- Zdobył kota - oznajmił komendant Reynolds - ale nie zdoła z nim uciec! Depczemy mu po piętach.

- Komendancie? - zapytał Pete. - Myśli pan, że to był Khan?

- Ciekawe, czy cały czas nas okłamywał? - zastanawiał się pan Carson.

- Nie mam pojęcia. Jest niezłym krasomówcą - odparł komendant.

- Może go rzeczywiście wynajęła moja babcia - powiedział Andy - ale pewnie jest też złodziejem.

- Znałem detektywów, którzy zeszli na złą drogę - powiedział smutno komendant. - Jeśli to on, tym razem go złapiemy. Jesteśmy zbyt blisko. Nie zdążył przeszukać kota i pozbyć się go. Będzie próbował opuścić teren wesołego miasteczka. Teraz na szczęście wiemy, jak wygląda.

- A jeśli to nie Khan? -zapytał Pete. - Nie wiemy, kto to jest, może więc ukryć kota i czekać.

- Nie ma szans - pokręcił głową komendant. - Wesołe miasteczko nie jest aż tak duże. Znajdziemy i wypchanego kota, i złodzieja. Prędzej czy później będzie próbował uciec, a wtedy go dopadniemy. Nie wydostanie się stąd z tym kotem. Jupiter, sądzę....

Komendant poszukał wzrokiem Pierwszego Detektywa. Ale Jupiter zniknął.

- Jupe! - zawołał Pete.

- Jupiter! Gdzie jesteś? - wołał komendant Reynolds.

Nikt nie odpowiadał.

- Nie pamiętam, żebym go tu widział - oznajmił Bob.

- Tak, nie było go z nami, odkąd opuściliśmy stary park zabaw - potwierdził pan Carson.

- Nie odszedł chyba daleko - stwierdził komendant Reynolds.

- A może spostrzegł złodzieja i pobiegł za nim! - drżącym głosem powiedział Pete.

- Nie panikuj - uspokajał go pan Carson.

Przeszukali ciężarówki i przyczepy kempingowe, stojące na terenie wesołego miasteczka. Po piętnastu minutach wszyscy spotkali się na deptaku, obok strzelnicy Andy'ego. Nikt nie znalazł Jupitera.

- Pokazy się skończyły - oświadczył pan Carson. - Zapytam aktorów, czy nie widzieli Jupitera.

- Wyjścia z wesołego miasteczka są zablokowane. Pilnujemy też ogrodzenia - zakomunikował komendant. - Nie mógł opuścić tego terenu.

Wszyscy aktorzy zgromadzili się obok namiotu Wielkiego Iwana. Stali niespokojnie, obserwując prowadzących poszukiwania robotników i policjantów strzegących bram wyjściowych. Pan Carson pytał każdego z pracowników, ale nikt nie przypominał sobie, aby widział gdzieś Jupitera.

- Nic nie widziałem - powiedział Wielki Iwan z niepokojem w głosie.

Linokoczkowie i połykacz ognia pokiwali przecząco głowami. Mały pulchny klaun tańczył niezgrabnie, tak jakby nadal odgrywał swoją rolę. Wskazywał ręką na smutnego kolegę. Wysoki komik zamiatał ziemię i zbierał śmiecie na wyszczerbioną szufelkę.

- Chyba go widziałem - oznajmił flegmatycznie. - Stał z kimś za namiotami.

- Naprawdę? - zapytał sucho komendant Reynolds. - Z kim?

Wysoki klaun potrząsnął głową.

- Nie wiem.

Mały klaun spróbował stanąć na rękach i upadł, a potem zaczął skakać obok wysokiego. Bob jęknął.

- Złodziej porwał Jupe'a! - rozpaczął.

- Użyje go jako zakładnika! - lamentował Pete.

- Spokojnie, chłopcy - powiedział komendant Reynolds. - To zmienia postać rzeczy. Jeśli porwał Jupitera, będziemy musieli pozwolić mu uciec. Ale w końcu go złapiemy!

- Jeśli rzeczywiście więzi Jupitera, to dlaczego do tej pory nie użył go jako zakładnika? - zapytał Andy.

- Nie mam pojęcia - przyznał szef policji.

- Zakładnik? - ożywił się wysoki klaun. - Kiedy widziałem chłopca, mężczyzna szedł z nim do dziury w ogrodzeniu, które prowadzi do oceanu!

Komendant był zupełnie zdezorientowany.

- Co? Ocean?

- Próbuje uciec, opływając ogrodzenie parku zabaw w miejscu, gdzie nie ma straży - zawołał pan Carson.

Pete, Andy, pan Carson i komendant natychmiast ruszyli w stronę płotu. Bob stał nieruchomo, przyglądając się alei.

- Panie komendancie - wycodził przez zęby - proszę na to spojrzeć.

Zatrzymali się i popatrzyli w miejsce, które wskazywał Bob. Mały klaun nadal się wygłupiał, tarzał po ziemi i wyciągał rękę w stronę wysokiego kolegi.

Na piasku, obok małego aktora, był wyrysowany wielki znak zapytania!

Rozdział 21

Złodziej zdemaskowany

- Nasz znak zapytania! - zawołał Pete, zerkając na małego klauna, który nadal skakał wokół swojego partnera.

- To Jupe! - domyślił się Bob. - Sugeruje nam, że...

Zanim ktokolwiek zdołał coś powiedzieć, wysoki komik niespodziewanie Wyciągnął z luźnego rękawa rewolwer i wycelował go w stojących ludzi. Bez słowa zaczął się wycofywać w kierunku głównego wejścia. Oczy świeciły mu groźnie.

- Nie ruszać się - ostrzegł komendant Reynolds. - Pozwólcie mu odejść.

Chłopcy, komendant i pan Carson bezradnie obserwowali oddalającego się klauna. Dotarł do głównego wyjścia, kiedy wielka postać wynurzyła się zza diabelskiego młyna i zagroziła mu drogę.

To był Khan. Wysoki klaun próbował wycelować rewolwer w siłacza, ale ten był szybszy i wykręcił mu nadgarstek. Komik wypuścił broń. Stał bezsilny w uścisku siłacza.

- Jeden złodziej złapany - powiedział tryumfalnie Khan.

Komendant Reynolds zawołał swoich ludzi i polecił im zabrać klauna. Policjanci kazali rozejść się wszystkim zgromadzonym. Khan uśmiechał się na prawo i lewo.

- Czekałem, aż złodziej zdradzi się jakimś błędem - wyjaśnił. - Muszę jednak przyznać, że nigdy nie podejrzewałem klauna.

Mały, tuściutki komik zdjął maskę. Zebrany ukazała się uśmiechnięta twarz Jupitera.

- Zawsze chciałem zagrać klauna - przyznał.

- Czy możesz nam to wszystko wyjaśnić? - zapytał szef policji. - Jak wpadłeś na to, że wysoki klaun jest złodziejem? Skąd masz ten kostium?

- Kiedy zaczęliśmy gonić mężczyznę, który uciekł z parku zabaw - tłumaczył Pierwszy Detektyw - spostrzegłem, że nie zdążymy zdobyć wypchanego kota wcześniej niż on. Zamiast biec z wami, postanowiłem pójść prosto do namiotów. Pomyślałem, że złodziej weźmie kota z przyczepy Andy'ego i ukryje go tam, gdzie jest dużo ludzi.

Właśnie zbliżałem się do namiotów, koło których wciąż kręcili się goście, kiedy zobaczyłem wysokiego klauna, biegnącego prosto na mnie! Zauważyłem, że coś ukrywa pod luźnym ubraniem. Gdyby mnie dostrzegł, domyśliłby się, że wiem, co posiada i kim jest! Dałem nura do pierwszego lepszego namiotu. Byłem kompletnie zaskoczony, bo był to namiot klaunów!

- O rany! - zawołał Pete. - Znalazłeś się w miejscu, do którego za chwilę miał przyjść złodziej!

Jupiter skinął potakująco głową.

- Tak bardzo się spieszyłem, że popełniłem błąd. Musiałem myśleć szybko. Namiot był podzielony na dwie części, jak wszystkie te, w których odbywają się przedstawienia. Na zapleczu aktorzy mogą odpoczywać pomiędzy aktami i przebierać się w kostiumy, jeśli nie zrobili tego we własnej przyczepie kempingowej. Postanowiłem pójść do garderoby. Usłyszałem, że ktoś wchodzi do tej części namiotu, gdzie odbywają się przedstawienia. Przebywał tam przez kilka minut. Nie wiedziałem, czy ma zamiar wejść na zaplecze. Widziałem, że był przebrany, ale i tak mógł tam zajrzeć w każdej chwili!

- Byłeś w pułapce! - powiedział Andy.

- Tak, ale dostrzegłem przebranie małego klauna! Skończył pracę, rozebrał się w namiocie i wyszedł! Włożyłem jego kostium i maskę. Strój pasował na mnie jak ulał! Właśnie przyczepiałem sobie plastikowy nochal, kiedy złodziej wszedł do przebieralni. Chyba mnie usłyszał. Myślał, że jestem małym klaunem i nalegał, żebyśmy dali jeszcze jeden pokaz na deptaku!

Oczywiście domyśliłem się, że chce jeszcze raz zagrać, żeby mieć możliwość ucieczki z wesołego miasteczka z wypchanym kotem. Sytuacja się zmieniła. Cały czas próbował ukraść kota i nikt niczego nie podejrzewał. Teraz jednak wszyscy wiedzieliśmy, co zamierza zrobić złodziej, i ukrywanie kota nie miało sensu. Chciał tylko uciec.

Komendant Reynolds skinął potakująco głową.

- Rozumiem, ale dlaczego od razu nie powiedziałeś, że to on, kiedy wyszliście z namiotu?

- Wiedziałem, że ma rewolwer. Obawiałem się, że domyśli się, kim jestem, i zacznie strzelać. Musiałem zwrócić na siebie uwagę, zanim zorientuje się, o co chodzi. Postanowiłem narysować na piasku wielki znak zapytania. Na szczęście Bob go zauważył. Dzięki temu wiedzieliście, w czym rzecz, wcześniej niż on!

- Tak, tylko trochę za późno. Mato brakowało, a byłby nam uciekł - powiedział komendant. - Dobra robota. Jupiterze? Gdzie jest wypchany kot?

- Pod luźnymi spodniami, przywiązany do jego nogi.

Jeden z policjantów przeszukał klauna i wyciągnął wypchanego zwierzaka. Podał go komendantowi, który szybko obejrzał kota i wyjął z niego kawałek brązowej tektury.

- Kwit z przechowalni bagażu! - zawołał komendant. - Tam zostawił pieniądze, które ukradł z banku. To rozwiązuje jedną część zagadki. Teraz sprawdźmy, kto jest złodziejem.

- Złodziej? - pan Carson zmarszczył brwi. - Ależ on nie może....

Zanim pan Carson dokończył zdanie, szef policji zdjął klaunowi maskę, perukę i zaczął wycierać makijaż z jego twarzy.

Komendant zrobił krok do tyłu, patrząc na komika z niedowierzaniem. Był to szczupły, zupełnie siwy, stary człowiek. Miał co najmniej sześćdziesiąt pięć lat!

- A - a- ależ... - wyjąkał szef policji. - On nie mógł być tym złodziejem!

- Próbowałem to panu powiedzieć - przypomniał właściciel wesołego miasteczka. - Jest na to zbyt stary. Nie zdołałby tak dobrze ukryć swojego wieku. Poza tym, nie mógłby chodzić po ścianach.

- Na pewno nie - przyznał skonsternowany Jupiter.

Stary klaun stał ze wzrokiem wbitym w ziemię.

- Ktoś... ktoś mnie wynajął. Dla niego ukradłem tego wypchanego kota. Powiedział, że zapłaci mi dziesięć tysięcy dolarów! Dał mi też pistolet, ale nawet nie wiem, jak go używać. Przepraszam, że was przeraziłem. To ze strachu.

- Kto pana wynajął? - zapytał komendant Reynolds.

Stary człowiek rozejrzał się wokół.

- To on! Khan!

Twarz siłacza pokrył ognisty rumieniec.

- Nieprawda. On kłamie. Tłumaczyłem wam już, że...

- Mówię prawdę - nie ustępował stary klaun. - Niech mi pan uwierzy. Proszę nas obu zabrać do więzienia i tam przesłuchać Khana. Wiem, że należy mi się kara, ale to Khan mnie wynajął.

Przez chwilę wszyscy zgromadzeni przypatrywali się staremu klaunowi i siłaczowi. Ręka klauna była wyciągnięta oskarżycielsko w stronę Khana. Jupiter spoglądał badawczym wzrokiem na obu podejrzanych. Oczy Pierwszego Detektywa błyszczały z przejęcia.

- Jeden z nich kłamie - oświadczył chłopiec. - Jestem przekonany, że stary klaun nas zwodzi!

- Na jakiej podstawie tak twierdzisz? - zapytał szef policji.

- Ten klaun wcale nie jest starym człowiekiem - powiedział Jupiter.

- To jego kolejne przebranie. Szukaliśmy mężczyzny, który tylko w czasie napadów na bank i poszukiwania wypchanych kotów zakładał na twarz śniadą maskę i przyklejał na rękę sztuczny tatuaż. Ale on wcale nie musiał się charakteryzować. Po prostu tak wyglądał. Przebierał się, gdy wracał do wesołego miasteczka. Natomiast podczas złodziejskich eskapad zdejmował przebranie! Pod maską staruszka kryje się nasz prawdziwy złodziej.

Stary człowiek zaczął się szamotać, ale policjanci trzymali go mocno. Komendant dotknął twarzy klauna. Pociągnął za siwe włosy, pomacał pomarszczoną skórę.

- Albo on nic nie ma na twarzy, albo nie mogę tego zdjąć.

- Nic dziwnego. Nowoczesna charakteryzacja jest bardzo precyzyjna - odparł Jupiter. - Proszę dokładnie przyjrzeć się jego szyi.

Komendant odchylił kołnierz kostiumu klauna. Zgromadzeni dostrzegli niewyraźną linię, prowadzącą dookoła szyi podejrzanego. Szef policji podważył paznokciami tę dziwną rysę i mocno pociągnął odstający strzępek. Cała skóra szyi i twarzy oraz siwe włosy zostały w ręku policjanta. Była to po prostu masa plastyczna.

Przed nimi stał śniady, czarnooki mężczyzna. Wyglądał tak jak wtedy, gdy skupował wypchane koty.

- To on, wytatuowany człowiek! - zawołał Pete. - Tylko brak mu tatuażu.

Pan Carson przyglądał się kipiącemu ze złości mężczyźnie.

- To rzeczywiście jest Zdumiewający Gabbo. Zmienił się trochę, ale to na pewno on. A więc teraz okradasz banki, Gabbo?

- Idź do diabła, Carson! - warknął złodziej. - Wszyscy idźcie do diabła! Gdyby nie te głupie dzieciaki, zrobiłbym was w balona.

- Dzieciaki, panie Gabbo - powiedział z przekąsem komendant Reynolds - ale wcale nie głupie. Zabierzcie go do więzienia, panowie.

Kiedy policjanci wyprowadzali szamoczącego się Gabba, komendant zwrócił się do Jupitera.

- To niesamowite. Okłamywał nas do ostatniej chwili. Ta maska była tak doskonała, że mógł się nam znowu wymknąć. Spostrzegłeś, jak bardzo nastawał, żebyśmy zabrali go do więzienia razem z Khanem? Gdyby został tam przez chwilę sam, zrzuciłby przebranie i uciekł. Skąd wiedziałeś, że to on jest oszustem?

- No cóż, ca prawda twarz miał świetnie ucharakteryzowaną - tłumaczył Jupiter z dumą w głosie - ale zapomniał zmienić wygląd rąk! Dostrzegłem, że są one podejrzanie gładkie, jędrne i smagłe. Nie miały starczych zmarszczek ani przebarwień skóry. To musiały być ręce młodego człowieka.

- Niebawale - powiedział komendant. - Znowu masz rację!

Bob i Pete wybuchnęli gromkim śmiechem.

- On, niestety, zawsze ma rację - stwierdził Bob, udając rozpacz.

- Albo prawie zawsze - dodał Pete.

Jupiter promieniał z dumy.

Rozdział 22

U pana Alfreda Hitchcocka

Następnego dnia Bob napisał sprawozdanie z dochodzenia i chłopcy zanieśli je swojemu przyjacielowi i opiekunowi, Alfredowi Hitchcockowi. Znany reżyser przeczytał je od razu i zgodził się przeanalizować tę sprawę.

- "Tajemnica wypchanego kota" - powiedział pan Hitchcock. - Intrygujący tytuł dochodzenia, prowadzonego z przenikliwością i wprawą. Uczyniliście społeczeństwu wielką przysługę, przerywając karierę Zdumiewającego Gabba. Dzięki wam nie wyrządzi więcej szkód.

- Okazało się, że poszukują go także w stanie Ohio, w związku z poprzednim napadem - oznajmił Bob.

- To był jeden z powodów, dla których zaczął pracować w wesołym miasteczku, używając przebrania - wytłumaczył Jupiter. - Usłyszał, że pan Carson jedzie z przedstawieniami do Kalifornii. Żeby uniknąć jakichkolwiek podejrzeń, najpierw zdobył maskę starego człowieka. Potem wpadł na pomysł, że może okraść bank w San Mateo, nie używając charakterystyki. Przykleił sobie tylko sztuczny tatuaż, żeby rozproszyć uwagę świadków.

- Bystre rozumowanie - przyznał pan Hitchcock, marszcząc brwi w zamyśleniu. - Zapewne zostawił łup w przechowalni bagażu i zamierzał niepostrzeżenie powrócić do wesołego miasteczka. Chciał opuścić miasto jako stary klaun. Nikt przecież nie podejrzewał, że może być młodym złodziejem.

- No właśnie - przyznał Jupiter. - Ale kiedy przypadkowo go rozpoznano, musiał wzniecić pożar, żeby mieć czas na ukrycie kwitu z przechowalni i przebranie się za starego człowieka. W pośpiechu zapomniał policzyć wypchane koty. Nie dostrzegł pomyłki, dopóki nie usłyszał mojej rozmowy z komendantem Reynoldsem.

Alfred Hitchcock pokiwał głową.

- Spostrzegłeś, że na początku działał bardzo ostrożnie, a potem dał się ponieść emocjom? To dowodzi, że nie był wystarczająco sprytny. Założę się, że w kalifornijskim więzieniu słono zapłaci za swoje błędy.

- Tak, a potem upomni się o niego stan Ohio - dodał Pete. - Minie dużo czasu, zanim znów będzie mógł występować jako człowiek-mucha.

- Chyba że w więzieniach też mają wesołe miasteczka - zażartował pan Hitchcock. - A co z babcią Andy'ego? Sądzicie, że nadal będzie miała złą opinię o panu Carsonie i wesołych miasteczkach?

- Już zmieniła zdanie - powiedział Bob. - Khan, to znaczy Paul Harney, doniósł jej, że życie w wesołym miasteczku bardzo służy jej wnukowi i że nie grożą mu tam żadne niebezpieczeństwa.

- Musiała się poddać uznając, że Andy'emu jest lepiej z ojcem niż z nią - dodał Jupiter.

- Pan Harney bardzo polubił zawód siłacza - oznajmił Pete. - Ma zamiar nadal pracować w wesołym miasteczku i porzucić posadę prywatnego detektywa.

- Naprawdę? - uśmiechnął się pan Hitchcock. - Ciekaw jestem, jaki wpływ na jego decyzję miało zapoznanie się z pracą trzech młodych, doświadczonych detektywów.

- No cóż, trudno powiedzieć - zachichotał Jupiter.

- Myślę, że to pozostanie sekretem Khana - podsumował pisarz. - Mam do was jeszcze jedno pytanie. Czy śmierć kucyków miała jakiś związek z całą sprawą?

- Nie. To był rzeczywiście nieszczęśliwy wypadek - powiedział Bob.

- I jedyny nie pasujący do pozostałych fragment układanki - dodał Alfred Hitchcock. - Zatem to już koniec waszych kontaktów z wesołym miasteczkiem?

- Eeee... niezupełnie - odparł Jupiter.

- Jupe będzie przez kilka dni pracował tam jako klaun - wygadał Pete. - Pan Carson pozwolił

mu zastąpić Gabba podczas przedstawień, które odbędą się w Rocky Beach.

- Wspaniale! - zawołał pan Hitchcock. - Przyjadę obejrzeć te przedstawienia.

Chłopcy pożegnali się ze sławnym reżyserem i wyszli. Alfred Hitchcock uśmiechnął się, widząc oczyma wyobraźni Jupitera w roli klauna. Zastanawiał się, jakie jeszcze przygody czekają Trzech Detektywów.